

103033

II

1931

KWADRYGA



**MIESIĘCZNIK
LITERACKI**

ROK V.

NR. 1—3.

WARSZAWA 1931 ROK

T R E Ś Ć :

MARJAN PIECHAŁ	ITAKA CONRADA	259
STANISŁAW R. DOBROWOLSKI	WIZERUNEK NORWIDA	261
	POCHWAŁA POGAŃSTWA	261
	HELIKON	262
STEFAN FLUKOWSKI	KWIATY WYZYSKIWANE	263
JÓZEF CZECHOWICZ	PRELUDJUM	265
	HYMN	265
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK	DNO	267
OSIP MANDELSZTAM	STARZEC	267
(przekład Wł. Słobodnika)		
CZESŁAW MIŁOŚZ	DOM MŁODZIEŃCÓW	269
	TWARZ MĘŻCZYZNY	269
WŁADYSŁAW SEBYŁA	GRÓB SŁOWACKIEGO	271
ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA	PSIA KOŁYSANKA	272
JAN SZCZAWIEJ	O GWIAZDACH I LILJACH	273
HENRYK VISNAPUU	O SMUTNY BRACIE PSIE	274
(przekład A. Maliszewskiego)		
ZBIGNIEW UNIŁOWSKI	ROZDZIAŁ II POWIEŚCI P. T. „WSPÓLNY POKÓJ”	275
TADEUSZ GŁADYCH	MOJE MIESZKANIA	291
ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA	WIKTORJA	300
	(urywek z powieści)	
DR. EDWARD BOYÉ	FRAGMENT WSTĘPU DO DON KICHOTA	312
SERGJUSZ KUŁAKOWSKI	LITERATURA ESTOŃSKA	319
WŁADYSŁAW SEBYŁA	NA RYNKU POETYCKIM	325
* * *	POEZJA POLSKA W KRZY- WEM ZWIERCIADLE	333
* * *	PRO DOMO SUA	334

WKŁADKA: REPRODUKCJA DRZEWORYTU IRENY KUCZBORSKIEJ.

Redaktor i wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

Redakcja mieści się w Warszawie, ul. Wilcza 21 m. 11.
Administracja: Księgarnia F. Hoésicka Tel. 505-31.

Redaktor przyjmuje we wtorki w godz. 18—19.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Księgarnia F. HOESICKA w Warszawie,
Senatorska 22. Telefon 610-68. Konto w P. K. O. 3459

Prenumerata wynosi rocznie Zł. 30. —

kwartalnie „ 8. —

Cena zeszytu pojedynczego „ 3. —

87/71/59



Biblioteka Jagiellońska



1002787324



— Wróc — wołają mnie — z Kent, z ziemi cudzej, z Westminsteru!
Marynarzu — wołają — przedziej do koła!
Wróc Admirale nasz Pierwszy — wołają — do steru! —
aż drgnąłem w ziemi trup, drgnął grób. Kto wola?

Był, co natęzał słuch skroś suchego przestwór oceanu...
Cisza mu z Litwy więcej niż mróz wiała przeraźliwa...
A teraz w kości moje z pod obcego kurchanu
wiatr ojczyzny dalekiej dnie i po imieniu je wzywa.

Tom z emigrantów wielu ostatni już chyba pielgrzym,
którego gdzieś w bryzę nadbałtycką wplątane przywołują mewy,
którego celem nie była Parana, Paryż, Ziemia Święta, nawet nie
Rzym...

Ach, gdzież wy teraz lata moje dalekie i horyzonty jeszcze dalsze —
gdzie wy? —

Poderwały mnie wtedy akordami z ziemi wybuchające wiatry,
otworzyły się nademną ojczyste na widnokręgach chmury,
że jak powietrzem wypełniłem sobą przestwór otwarty
aż do najdalszej granicy „Stwórcy i Natury“...

Hic obiit Gustavus. Conradus natus est nie na kartach stronic,
ale na wód i lądów kołowaniu obłądnem.
Tam pędem kopyt skrzydlatych w przestrzeniach dzwonić
i jak sto strun sto dróg drgać zaczęło i serce walić jak bęben!

I myśl rozkuta z nalogów i od przesądów wolna
powiała nad ogromem zjawisk i zdarzeń myślą niewymiernych:
na morzach podróżowałem nie mniej, niż Jan z Kolna,
i w gwiazdy się wpatrywałem nie mniej, niż Kopernik...

Wszędzie, wszędzie szukałem, na wszystkich świata bezdrożach,
Milczał, jak cień Lingard, Peyrol, Nostromo i Heyst i Jim i wielu
jeszcze z napotkanych szeregu...
Tylko szkwał w odpowiedzi dmuchał nagle w powierzchnię morza
i skrzydło wody wrzące odrzucał do obfitego gdzieś w algi
i przewierścienie brzegu,

*Próżno portu wypatrywałem zapatrzeniem dalekiem.
Myślałem, że już do żadnego nie przycumuję lądu, zanim umrę,
i że żaden z cieni spotkanych, z których każdy niewolnikiem był
więcej, niż wolnym człowiekiem,
garści oceanu gorzkiego, zamiast piasku, nie rzuci wolnemu na
trumnę...*

*— Wróc — wołają — na ląd — wołaniem jak ogniem —
spocząć w wolnej ziemi jak w kolebce! —
teraz, gdym wreszcie znalazł, choć długo nie mogłem,
ląd stały, kraj jedyny — własne moje serce.*

MARJAN PIECHAL

WIZERUNEK NORWIDA

*Nad pochylonym ciężko torsem rzymianina
oglądanego dawno w galerji marmurów
praksytelesowego dłuta głowa grecka*

*patrzy błękitem mądrych oczu slowianina —
obok lampa i pióro gęsie i papyrus:
taki obraz fantazja wyrzeźbiła dziecka.*

POCHWAŁA POGAŃSTWA

Emilowi Zegadłowiczowi

*Że zamiast u śledziarzy, na półkach parafjan
lśnią złotemi brzegami, oprawione w safjan —
nie znaczy, by tak były poczytne litanje,
mój bardziej parafjański, niżli parafjanie!*

*Pewnie w suche dni rzymski proboszcz w Watykanie
odmawia za upadłych beskidzki różaniec
i dlatego tercjarze — w mgle wilgotnych westchnień —
za apollińskie mają to, co jest papieskie.*

*Lecz słowiańskiego wężu tak łatwo nie stępi
betleemskie kadzidło Emila a Kempis:
ulejmy wina z stągwi ku czci Djanizosa —
lepsze wesole piekło, niż nudne niebios!*

*Jaka bez lip i pasiek byłaby ojczyzna
tylu liryków swojskich — — ?*

*czemże-by Polska była bez słowika
od Syrokomi -- do strof Słobodnika?*

Jak Helikon bez żaby?

*Bez smęcącego się po mokrych łąkach
bociana —
jak Athene na włócznie nie wsparta.*

*O bursztynowa pszczoło!
ileś ty jest warta,
żebyś wiedziała — —*

*jednej miodu szklanki
nie kupiłbym za całe szafiru Mont-Blanc'i —
nawet kropelki jednej, malej odrobiny:*

*Stoisz Polsko lipami i lipowym kwiatem,
słowikiem na gałęzi,
pszczołkami na liściu —*

*grają Ci na fujarkach kręconych z wierzbiny
lirycy na uwięzi —
zapatrzeni w ślepią krowy łaciatej.*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

I

*Kwiaty — okna pełne kwiatów — okno prostokątny kwiat —
Brzęczą pszczoły złotą hordą zagonem —
W stu milionach sześciennych metrów lasu jest wiatr
I szelest liści lakierowanych zielono.*

*W rozchylone kielichy okien bucha tuman złotem
I pyli — po habrach makami rosi.*

*Na każdym skrzydle pszczoła kiedy do ula odlata
Z brzękiem delikatnie dzwoniącą nutę unosi.*

*Oto w łąki przez słońce wysrane
Kosiarz wstąpił wsparty na kolumnach nóg —
Teraz kwiaty opadają i nikną
W zielonym świetle świetnie świecące rakiety —
Okna się zamkną i zwiędną brzęcząc w szyb płatki szklane —
Okna-kwiaty zgarnięte w domu drewniany stóg.*

II

*Jadą wozy pełne pachnącego siana —
Kto pokaleczył kwiaty widłami że cieknie sok z nich? —
Nie one strząsną ze siebie nasienie ale my
Lepcy od potu miodem złotym zgrzani.*

*Na kwiaty spadnie jak para jastrzębi
On z dziewczyną — ona mu echem zadzwięczy
Bolesnem — —
Na pięciolinji krokwi
Zawiśnie klucz wiolinowy pajęczyn
Misternym węzłem — —
Tych dwojga ciała oplucze i splami melodja
Czerwona jak krew — czerwieńsza niż grona jarzębin.*

III

*Krowy rozłamały prostokątny kwiat okna w dwa trójkąty
I żują patrząc w las gdzie wiatr miljonem metrów drzewa kręci —
Mleko będzie białe jak mleko —
A ciele będzie jak matka miało lata u pęcín.*

*Tylko kiedyś pod przymkniętą powieką
Dzieci które kobiety noszą w brzuchach jak w welniakach
czerwonych*

*Rozwiną się w słońcu wielkie kwiaty —
I nikt ich nie dotknie: —
Ani pszczoła ani krowa ani kosiarz ani my —
Manekiny w kolorowych płatkach ubrań
Na raty
W wielkiem wystawowem oknie.*

STEFAN FLUKOWSKI

preludium

1

*o świecie wybuchły ptaki z mosiężnych ról
smukła kobieta jasność przyniosła na głowie*

2

*dzwony nienasycone kołyski muzyczne
wspominać wspominać zapominać*

3

*powiewie różowy jak twarz dziecka
płomyku podcinający niewysoką trawę
ciemnym kwiatem makowym skinę
nieruchomy zapach uderzy mnie i zginę*

4

jeleń stoi u źródła struga szeptem ave

1930

h y m n

*szumiąc
chorągwi czarnych armij
łopotem ogni
śpiewem
chwytasz znieścacka za gardło
serce roztrącasz
zimnym zalewem*

*żyjemy błędzimy
kolują na zegarach godziny
za nikogo chyba
placze późną jesienią
szyba*

*do kogo śmieje się maj z wierzbiny
mówiący słowo kwiatowe
wieczornym cieniom*

kiedy ptak z nad bystrzycy ulatuje wzwyż
ziemia cała spada ciężką kroplą
ścieżki pokrywa zieloność
drogi się kładą nakrzyż
woda ucicha za groblą
biczną do swoich wnętrz puszyste knieje
i malejące kształty domostw

ty jedna olbrzymiejsz

złoty na czole nocy
nabrzmiewa znak twej mocy
żyła piorunu
potężnymi stopami wychodzi z mroku
drżeniem napelniający
ciemną zatoką
falujący
grom

wielbi cię siła człowieczej gliny
śmierci
winna bez winy

ginąc na lądach morzach
w powietrzu płonąc
jak zorze
niespodziewane
przywaleni w kopalniach gruzu kolanem
śpiewamy
głodem wybuchami żelazem
ogniem i gazem
tobie grożąca
tobie nieunikniona
królowo nocnego słońca
nienasycona

JÓZEF CZECHOWICZ

1931

Stanisławowi Marji Salińskiemu.

Jeżeli żar mnie chwyta wielki,
 Jeżeli wiatr mnie wielki gna,
 To znaczy, że na dnie butelki,
 Jest tylko dno i nic prócz dna!
 To znaczy, że o nas się zataczać
 Na złość taksówkom i tramwajom
 I zataczając się, przebaczać
 Tym, którzy się nie zataczają.
 I zataczając się, wytaczać
 Płomienny proces równowadze
 I wytaczając, się zataczać
 Na złość rachunkom i powadze.
 Widzę cię! Śmiejesz się i płaczesz,
 Zataczasz się i struny grają —
 Chwała ci, który się zataczasz
 Wśród tych, co się nie zataczają!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

OSIP MANDELSZTAM

STARZEC

Już świta, śpiewa już syrena
 I złoci się Aurora —
 Starcze, podobny do Verlaina,
 Teraz jest twoja pora.
 W twych oczach dobry i zdradziecki
 Zielony ognik zaległ,
 Na suchej szyi masz turecki
 Wzorzysty, barwny szalik.

*Bluźnić i sprośne rzeczy gadać
Lubisz, starcze, bez przerwy
I zawsze chcesz się wypowiedzieć,
Lecz zgrzeszyć pragniesz pierwej.
Włóczysz się, pełen zlej niemocy,
Błądzisz pod mgłą pajęczą.
Podbite oko w głębi nocy
Kwitnie bolesną tęczą.
Tak przedniedzielny dzień, sobota
W mrok ulic cię zapędza
Tam, gdzie zagląda wciąż we wrota
Wesoła, lekka nędza.
A w domu, bardziej zła od biesa,
Przekleństwem uskrzydłona,
Wita spitego Sokratesa
Surowa jego żona*

przekład

WŁODZIMIERZA SŁOBODNIKA

Nasz dom jest wbity białym kubem w ciemność gorzką
Windziarz śpiewa ruskie piosenki i gra na mandolinie
Czy naprawdę kiedyś młodość nasza wspaniała przeminie
Czy raczej przeminie ziemia i pusty nieboskłon?
Nasz dom pachnie ciałem młodem ciałem brązowego połysku
Pachnie spermą miotaną rozrzutnie i wonią kobiet rozgrzanych
Rano na płaskim tarasie słońce wschodzące witamy
I zamiast rannej modlitwy sypiemy dziesiątek dysków.
Jesteśmy bardzo braterscy. Wszystkie zawile przygody
Z dni rewolucji nad Wołgą i nawet sny
Mówimy sobie szczerze. Patrzymy w oczy. Jak lny
Niebieskie są oczy nasze w twarzach znaczonej wschodem.
Wyzwoleni z miłości która już ginie
Od powiewu tej wojny która nas wydała
Wiemy że wszelka prawda jest niedoskonała
A piękne są surowo połączone linje.
Nasz dom jest wbity białym kubem w ciemność gorzką
Tańczą maleńkie dziewczynki w beku tang
Czy przeminie ziemia? czy przeminie olbrzymi nieboskłon?
Nie. Przeminać trzeba nam.

TWARZ MĘZCZYZNY

*Tu łubin czarny a tu len a tu zasiano ciężki nard
Z nad zieloności twoja twarz i z nad mglistości plama warg.*

*Jak w wściekłym filmie Dżingischanów wyrasta skośnie twarz
nad mieczem
Tak ty w dziewięciu myślach swoich światu wielkiemu przeczysz—*

*I jest ci myśl o Ukrainie i jest ci myśl o latach wojny
Sześć krajobrazów które znasz i jeden — którego nie pojdziesz
Napięte jak wody rozlane. Spokojne jak wody wezbrane.
Na mroku twoje oblicze.
Otwierasz sosnowe drzwi. Na rzekę gdzie płyną kry —
Tragicznym krzykiem krzyczysz.*

CZESŁAW MIŁOŚZ

GRÓB SŁOWACKIEGO

*Tu czerwony blok i krzyż z popiołu,
a nad nim obronna katedra.
Na smoczych kościach wzgórze, obrośnięte w piolun,
a górą wiatr, rozkwitły w cedrach.
Pod lśniącą, czarną płytą pustooka czaszka —
garść kości czarny marmur na biało rozżarza.
W górnym kościele gasną świece na złotych ołtarzach,
po korytarzach grobów goni żar — i trzaska
marmur z pod Kielc i parzy, parzy czarny marmur.
Niech z katedralnej wieży hejnał uderzy alarmu!
Zgaście ten grób, zagaście — bo spali nam czola,
bo popiół nam przez oczy sygnie w wodę Wisły
i lawa się poleje z kościoła.*

*Cisza — to nic — to anioł szumi nad katedrą —
lśni czarny blok i cicho od wnętrza się żarzy —
kroplami gwiazd na płytę kapie srebro —
— a tam — topole szumią pod gwiazdami —
— nad rozmokłymi drogami
ciągnie wiatr
i wierzby w wichurze się kołyszą.*

*— To nic — już żaden deszcz nie zgasi żaru,
i żaden wiatr nie zetrze lśnienia z płyty —
— my przywalimy go czarnymi skibami,
— przeoranemi ścierniskami —
— ażeby wierzby nad nim wyrosły z moczarów
— żeby nie palił nas — ...przykryty.*

WŁADYSŁAW SEBYŁA

*Skróń zwilgła potem,
Pod włosiem drżącym, mięciutkim, płowym —
Ożyl motyl
Na żywicznym stole.*

*Szeleszczący szczebiocze wieczorem owies,
Szumi, szumi puszyste skrzydło sowie.
O swem dziecięctwie, piesku, coś opowiedz,
Otem, owym, otył, ole, owies, owie, owiedz.*

*Ciepło pieca zwilgłe, mięciutkie, drżące —
Ciepło ognia żywe, żywiczne, płowe —
Ciepło ręki puszyste, szeleszczące —
Ciepło oczu — wieczorne skrzydło sowie.*

*Ciepło, ciepło, ciepło —
oczy,*

w oczy — — —

*Śpij, dziecinko, nocą w noce w nocy
Łzą i miodem w oczach zlepiło
Śpij mój piesku ciepło ciepło.*

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA

Wieczorze, w piersi sennej zbudź
Milknące serce.
Patrz, z za portjery zajaśniały oczy koloru bzu
I nocy w czerwcu.
Przyszłaś i sukni miękkiej, kobiecego zapach
Pokój jak zmysły ogarnął.
Za oknem księżyc włosy rozplata
Nocy czarnej.
Jak to dobrze, że gwiazdy z obłoków patrzą
Błękitem dobrym tak mile
I że ciało kobiece kusi inaczej
Od gwiazd i lilij.
Ktoś daleko na flecie gra pieśń o siwych stertach
O mgle i o wierzbach nad rzeką —
Przyszłaś i płomień ogarnął najszerszy
Pieśń daleką.
Płomień gwiazd liljami opada ku rzece.
Zapłonęła zorza wieczorna, niespodziewana.
O pożarze nienasytny całujący kobiece
Odslonięte kolana!

JAN SZCZAWIEJ

Henryk VISNAPUU.

O, SMUTNY BRACIE, PSIE.

*Skulony w kącie pies ma odbłask szyby w oczach
Na szybie — lustro dnia za szybą w chleb się zmienia —
Za stołem człowiek już jedzenia blask roztoczył —
Skulony w kącie pies płonące ma spojrzenia —*

*Ten biedny kudłacz pies już patrzeć się nie waży —
Spieniony zwiesił pysk — głód: — to jedno tylko wie
Czy oczu błysk, jak bicz litości nie nakáže?
Nie. Nie nakáže nic. Przy stole siedzi człowiek.*

*O, smutny bracie, psie — już nic się nie odmieni —
Głód twój, to mój jest głód — ból twój jest moim niemal —
Pewnie do końca dni będziemy wciąż spragnieni
Radości, która jest, a której dla nas niema.*

*O, smutny bracie, psie — co dziś nam czynić — powiedz
Codzień nas mija tłum — wrogość jest w tłumie krokach —
Trzeba nam będzie wyc — niechaj się miasto dowie,
Że szarpie nawet głód — nawet nas głód nie kocha.*

Przełożył Aleks. Maliszewski.

ROZDZIAŁ II.

Marzec w mieście. — Słońce jeszcze nie jest dość silne, by promieniami swemi grzać mogło; co najwyżej wysusza błoto. Znika ono powoli, deptane miljonem nóg, — rozprowadzane kołami pojazdów na cieńszą i cieńszą warstwę, by łatwiej poddać się słońcu.

W mieszkaniu na Nowiniarskiej wiruje złoty pył w smugach słońca. Ubogie i liczne sprzęty są zakurzone i błyszczą sucho. W alkowie też jest jasno, — resztkami światła z pokoju.

W północy — Lucjan widzi obraz, jaki go witał przez szereg miesięcy — co rano: że dzień jest pogodny, to czuje przecież. Czy też góry będą dzisiaj czyste. — Przeciąga się, — o, jak jasno! — Wyskakuje z łóżka i... gdzież to on jest? Zegar wskazuje dziesiątą, lecz wybija tylko pięć razy. — Ach, przecież ja teraz tutaj jestem... co za przywidzenie.

Lucjan nakłada płaszcz na bieliznę i zagląda do kuchni. Cisza. — To samo w drugim pokoju: niema nikogo, jest więc swobodny. Usiadł na kanapie rozpamiętywując dzień wczorajszy. Stukoniswa jest znośna, ma tylko takie chytrenkie oczy — ile też będzie żądała. Student i ten drugi, jak mu tam... a, wszystko jedno. Cała rzecz w tem, aby trzymać się od nich zdaleka. Żeby chociaż można było pisać.

Nie chciało mu się ubierać, czuł w sobie ociężałość jakąś. Podszedł do okna i otworzył łufcik. Widzi wprost siebie podwórko wąskie i podłużne, oddzielone od ulicy żelazną bramą z włócznie. Podwórko robi wrażenie wschodniej uliczki; kręcą się po niem ludzie brodaci, w długich chałatach. — Mówią po żydowsku i gestykują. Kobiety mają peruki na głowie i wynędzniałe twarze. Pod murem stoją kosze z ciastkami, owocami, talerzami lub chusteczkami do nosa. Trzęsący się, siwy żyd w lachmanach stoi w słońcu i zawodzi lepkim, jakby bełkotliwym, głosem. Wre tutaj drobne, skupione w sobie życie — jak gdyby odosobnione od reszty świata. W wąskiej kamiennej szyi, tłoczą się, targują, klóćą, — oszołomieni, nie widzący słońca, nie czujący wiosny — ludzie. Ich wytarte nędzą oczy błyszczą od chęci zdobycia kilku groszy. A nad tem niebo przejrzyste, młodowiosenne.

Brama zamyka podwórko od ulicy Długiej; po przeciwległej stronie stoi wielki i szary kościół garnizonowy — zamyka on perspektywę uliczki i Lucjan widzi ze swego okna, jarzące się w ciemnym wnętrzu kościoła — świece. Na wieżach zahuczwały dzwony. Ciepły wiatr łaskocze odkrytą pierś Lucjana. Jest mu dziwnie, kiedy tak patrzy na te kontrasty. Ci na dole poruszają się i szwargocą w dalszym ciągu. Jakże inny i jednocześnie taki sam jest ten drobny i brudny żyd, sprzedający grzebienie po pięć groszy, i ten we wciętem palcie z „Ziemiańskiej“. Pochylony nad koszem pełnym małych grzebieni, nie zachwala nawet swego towaru, tylko woła bezustannie: „po pięć groszy, po pięć groszy“. A przecież jego brat różni się od niego tylko paltem; poza tem ma podobną twarz i tę samą arogancję. Lucjan odwrócił się od okna: — jestem głupim facetem i ordynarnym antysemitą, poco wogóle myślę o tych draniach. — Wszedł do kuchni; na żelaznym blacie stał duży garnek. Lucjan podniósł pokrywę; kawa z mlekiem o mdłym zapachu. Podstawił miednicę pod kran i puścił wodę, — postawił miednicę na taburecie i poszedł do kuchni, by dolać sobie ciepłej wody — nie było. Zdjął koszulę i zanurzył ręce w miednicy, ale pełny pęcherz uciskał go; wyjął ręce i ujął za klamkę drzwi ustępowych, wszedł do środka: — a, niech to cholera ciśnie, mam przecież mokre ręce, — mruknął pod nosem, trzasnął drzwiami i począł się myć, przestępując z nogi na nogę z podrażnienia. Namydlił głowę i poruszając palcami w spienionych włosach, myślał: czy też będzie miał kiedykolwiek swego fryzjera, któryby mył mu codziennie głowę. Ogromnie lubił myć głowę. — Naturalnie fryzjer będzie u mnie mieszkał. — Rano: najpierw głowa, — golenie, tego... a potem pedicure — zaraz, czy fryzjer robi pedicure, no, mniejsza z tem, — on mi przy nogach, a ja czytam, co o mnie piszą w gazetach. Hehe, ty megalomanie, lepiej idź się odlej, bo ledwo stoisz. — Nie ma draństwo kiedy stukać, tylko teraz, kiedy jestem cały mokry. — Otworzył drzwi. Listonosz; — podał mu dwie gazety adresowane do Józefa Stukonisa. Cóż to jest! „Wola Ludu“ i „Sierp i Młot“ — psiakrew, jeszcze się przeziębę. To nie jest dobrze, że myślałem o tym fryzjerze; wszystko się źle skończy. — Póki jeszcze jestem młody, wszystko mi jako tako idzie, ale później zestarzeję się i zmarnieję, bo jestem leniuch i idjota. Wytarł się mocno ręcznikiem aż mu skóra na szyi poczerwieniała, wyczyścił zęby i począł szybko się ubierać. Jakiś mężczyzna śpiewał arję z Aidy. Głos był nieuczony, lecz mocny i jasny — pulsujący skon-

centrowaną wesołością. Lucjan przerwał swą czynność i podszedł do okna. Na dole kręcili się ci sami ludzie. Głos niezwykle czysto odcinał się od tego gwaru; brzmienie jego wibrowało w powietrzu razem ze stukotem młotka, tak, jak gdyby jeden człowiek robił te dwie rzeczy jednocześnie. Zdenerwowanie pierzchło i Lucjan zasłuchany pomyślał: — z takim głosem, facet tłucze młotkiem, — komiczne.

Ubrał się, przeciągnął; — wyjął szklanekę z szafki, poszedł do kuchni i nalał sobie kawy; — była zimna i wodnista. Jedząc, czytał „Wolę Ludu“. — Niech szlag to trafi; ciągle: m a s a , l u d , u c i s k . — Sam jestem w nędzy prawie i większe mam prawo do jedzenia codziennie obiadu, aniżeli chłop zpod Małkini do fortepianu. Spojrzał na zegar: jedenasta. Znowuż opadła go fala zgryźliwości. Począł się błąkać po pokoju. Wziął z etażerki obszarpaną „Lenorę“ Kadena Bandrowskiego. Począł czytać, — w ustach miał smak proszku do zębów, i — kawy. — Tfu, jak ten szczeka. — Żalgany, zaśliniony karjerowicz... gada, gada. Rypnął niedolę górnika polskiego, ciekawym ile na tem zarobił... rachityczna jemiola na tak wątlęm ostatnio drzewie naszej literatury. — Lucjan przerwał czytanie, znał to zresztą już dawno. — Dlaczego jestem taki wściekły i to z samego rana. Co mi ten Kaden zawinił, ani mnie ziębi, ani mnie grzeje, — zasrany pisarz to fakt, ale ma swoją grupę matolów, którzy go wielbią. Poza tem firma — sprytny człowiek. Jestem zgorzkniały i kwita.

Wyciągnął nogi do góry, potem zaczął bić piętami o wałek kanapy; chciało mu się wyć. Na podwórku ktoś grał na klarncie... uhuuu... hurhurhur... wwa... waa. Ktoś walił do drzwi. Lucjan pobiegnął otworzyć. Jak się masz Zygmusiu, coś tak rano wyszedł.

— Zaczekaj, zaraz ci powiem, tylko się wyszczę.

Po chwili mówił, zapinając spodnie: — Uważasz, kiedyś tu, matka dała mi na zapłacenie elektryczności, ale spotkałem Żywa i forszę przepiliśmy u „Wróbla“. Dziś był ostatni termin, musiałem — proszę ja ciebie — zastawić papierośnicę po ojcu, — bo jakieś trzy miesiące temu, też mi tak wypadło; nie zapłaciłem i zamknęli nam światło. A matce tego tylko potrzeba — będzie miała gadania na cały miesiąc. No, jak się czujesz, widzę, że daleś sobie radę ze wszystkim, — czekaj, bo ja jeszcze śniadania nie jadłem. Pójdziemy razem do „Małej“ — pogoda świetna: — tutaj, na rogu Miodowej — taksówka wpadła między dwa tramwaje, — wieźli, zdaje

się, do kliniki, jakąś kobietę w ciąży. — Pocharatało ją, powiadam ci okropność było patrzeć. Trzeba sobie nalać kawy.

Lucjan przechadza się po pokoju tańczącym krokiem, gwizdząc przez zęby. Czuje się lekko i z przyjemnością patrzy na jedzącego Zygmunta — ma Beethovenowską twarz — z wyrazem. Wysokie czoło okala mu blond czupryna. Zygmunta bardzo chętnie malują. Lucjan patrzy na podwórko: dwaj młodzi ludzie grają na gitarach i śpiewają smutną piosenkę:

...i już nigdy nie zabłysnął
w oczach jego pański blask,
rzucił dzieci, żonę cisnął
aby zdusić bólu wrzask.
Uciekł w dalekie...

— Słuchaj, Zygmunt, zanim przyszedłeś, ktoś z dołu śpiewał tak pięknie, że mówię ci — byłem zachwycony.

— A, to kuśnierz, — żyd od kuśnierza z dołu, tak ryczy codziennie. Uważasz, na placu Krasińskich jest dużo sklepów z futrami i pracownice wychodzą na to podwórko. Nieraz cholera może wziąć, jak ten parszywiec zacznie wyć, i to zawsze z rana, kiedy jest pogoda, reszta tłucze młotkami; — rozpinają futra na desce i wbijają gwoździe. Już dawno myślałem tego wyjca opierdolić; kiedyś tu pisałem wierz i cholera mnie brała, tak mi przeszkadzała. Co, podobna ci się? — No, może ja nie jestem muzykalny.

— Rzeczywiście, ten śpiew bardzo mi się podobał. Powiedz mi, czy ta uliczka nie robi na tobie wrażenia jakiegoś zakątka wschodniego miasta. Ci ludzie, ten gwar taki dziwny.

— Tak... można to sobie wyobrazić, — przecież tutaj mieszkają sami żydzi. Wiesz, że w tym domu tylko my jesteśmy chrześcijanami no, i te dwie siostry, te stróżki na dole. To, co ty nazywasz uliczką, nie jest żadna uliczka, tylko zwyczajne podwórko między dwoma domami, te domy są długie. Nie wiem po kiego djabła te szmaciarze kręcą się tam. — Zygmunt wychylił głowę przez lufcik. — Handlują i wrzeszczą, zarazy na nich niema.

— No, mój drogi. Chcesz jeszcze zarazy na tego biedaka, sprzedającego cztery cukierki za dziesięć groszy? — Pomyśl, ile on dziennie utarguje? — złoty.

— O, patrzcie go — altruista. Idź w sobotę do „Małej“, — ręcę ci, że go spotkasz w garniturze skrojonym według ostatniej mody. Będzie siedział z angielską gazetą w ręku. Z czego oni żyją,

ci gudłaje, to jest tajemnica. Ujrzysz ich we święto, to nie poznasz tych łachmaniarzy — takie lordy.

— E, przesadzasz.

— Przesadzam. — Po chwili Zygmunt dodał ponurym głosem: — ale na ten wschód to trzeba mieć wiele fantazji, bo w gruncie rzeczy znajdujemy się w ponurem mieście smutnego kraju, — w brudnej dzielnicy żydowskiej. Tak, fantasto. Marzę o jednym, własnym pokoju, gdzieś na Moniuszki lub Wareckiej. Wogóle zbrzydło mi to wszystko. Ha, wschód! — Zygmunt usiadł przy biurku, wydobyl jakąś książkę i poczał czytać. Lucjan obserwował go. Czytając strofy Reja, Zygmunt miał twarz zamyśloną głęboko, uduchowioną. Obgryzał powoli paznokcie u prawej ręki, lewą wsunął w spodnie. W pewnej chwili powiedział: — Otwórzno, ktoś rumocze.

— Otwórz sam, co ja będę ciągle otwierał.

— Przecież widzisz, że czytam.

Lucjan wstał i odsunął zatrzask. Przyszedł student. Teraz Lucjan przyjrzał mu się uważnie: wyglądał jak źle ucharakteryzowany amant z marnego teatrzyku, — wąsy miał nierówno przystrzyżone, — oczy duże i piękne, wyrażające bezmierną głupotę. Zdjął cienkie paletko i w czapce podszedł do lustra, — przejrzał się w nim jak kokota: zmrużył oczy, wyszczerzył zęby, poprawił krawat i dopiero teraz zdjął czapkę, — ostrożnie, by nie zepsuć fryzury. Chwilę przechadzał się, zajrzał do kuchni, nasmarował sobie kawałek chleba szmalcem, — wreszcie wziął gruby tom geodezji, usiadł i utkwil wzrok w książce. Lucjan położył się na swoim łóżku. Zegar tikał zgrzytliwie, zdołu dochodził gwar miasta. Zygmunt czytał Reja z zapalem, z jakim czyta się powieści sensacyjne. W pokoju było bezgłośnie; z podwórka znów wpadł strumień wspaniałego śpiewu. Lucjan poczał nasłuchiwać: głos płynął razem ze słońcem, dźwięczał jasno i czarował nie milknąc, zasilany świeżemi tonami. Student cmoknął ustami niecierpliwie, Zygmunt oparł głowę desperacko na dłoniach, zaraz jednak odjął je, zajrzał lekceważąco do alkowy, gdzie leżał Lucjan, poczem wrócił do poprzedniej pozycji, zatykając sobie uszy palcami. Śpiew czas jakiś jeszcze brzmi, milknie powoli głuszony dźwiękami uderzeń młotka. Z głową opartą niedbale o wciśnięty róg poduszki, Lucjan patrzy na studenta; — siedzi jak mumja, wpatrzony w zadrukowaną stronicę, — o, teraz poruszył się; — uniósl głowę do góry i utkwil spojrzenie w suficie, potem nakrył oczy powiekami i jął poruszać ustami —

powtarzał. Trwał tak z pięć minut, potem opuścił głowę i znów zaczął wpatrywać się w tę samą stronicę. Na schodach rozległ się głuchy loskot, potem wiele drobnych uderzeń, jak gdyby kosz węgla się wywrócił. Ktoś zaklął grubym głosem, potem slychać było piskliwy głosik stróżki, gburowatą odpowiedź i, wszystko uci- chło. Zegar wybija godziny; między jednym a drugim uderze- niem trwa denerwująca cisza: już... już... zdaje się, że przestał bić... lecz jeszcze raz... nie, — buuum. — Lucjan wtulił głowę w podusz- kę, oddychał zapachem swych włosów: pachniały zwyczajnem, żół- tem mydłem i skórą. Odwrócił się i zpod łokcia spojrział na stu- denta. Ciągłe się „kształci“; jego wkuwanie się ma w sobie coś przerażająco nudnego, — twarz wyraża bezmyślny, chłopski upór i zaciętość. Lucjan odwrócił się do ściany. — Leżę tu jak polano w kamienistym rowie — tępe, powinienem przecie coś robić.

Zygmunt wstał od biurka ziewając i przeciągając się: — Lucek, chodź, pójdziemy do „Małej“.

— Nie, nie idę do tej smrodziarni, wolę tu zostać, idź sam. Zresztą nie chce mi się ruszać.

Zygmunt wlażł na krzesło i począł nakręcać zegar, o mało się nie przewrócił; zaklął, pogrzebał w szufladzie komody, wyjął igłę, ni- ci, — przyszył guzik do swego palta, powiedział do Lucjana: — gnij tu, — i wyszedł.

— Czy też Klimek odkupił gramofon Stefanji. Swoją drogą to świnstwo pożyczyć od kogoś gramofon i sprzedać go na wódkę, — poeta, psiakrew. Ile też mógł dostać za taki gramofon. ... Echh... luu... grafomon... grafoman. Napewno jestem grafoman, z tych, co to czekają na natchnienie. — Czy ma ze mnie ktoś korzyść jaką- kolwiek? — marny facet — pasożyt społeczeństwa. Do jasnej cho- lery... naglej... sam przecie czuję wyraźnie, że nie mogę pisać. A nic innego robić nie potrafię, a może potrafię, tylko mi się nie chce, bo jestem bez ambicji. Tak, za grosz nie mam ambicji, wszystko tyl- ko tak... tanim kosztem. Oj, Boże! co za nudy, — co tamten ro- bi. — Student, tak jak i książka, nie zmienili się. Czytał i wachał palce, po chwili jakby się ocknął; począł sobie energicznie masować nos i ślinić językiem wąsy. Ale szybko się uspokoił; teraz drapał się w głowę, delikatnie, końcami palców, by nie zepsuć fryzury.

W pokoju pachnie południem; na dole ucihło i ustał stukot młot- ków. Na poruszającą się we włosach rękę studenta, pada płąt świa- tła słonecznego: ręka wygląda, jak jakiś wstrętny, czerwony krab — dobierający mu się do mózgu.

Lucjan wstał, poszedł do kuchni i zakręcił kran, by nie kapalo. Szedł do pokoju, ale zawrócił, bo pomyślał, że przy okazji warto napić się wody. Wychylił szklanekę, przygniótł pogrzebaczem spacerującego wolno karalucha, poszedł zobaczyć godzinę i znowu ułożył się w mrocznej alkowie. Począł rozmyślać. Powiniennem już w Zakopanem wziąć się ostro za tę książkę. Ciągłe obmyślać to mało — trzeba pisać. Ale jak ja mogę pisać nie przemyślawszy uprzednio tematu. Przypuśćmy zresztą, że napiszę dużą, czterystostronicową powieść. W miesiąc po jej skończeniu przejrzę rękopis raz jeszcze i wrzucę do pieca, bo napewno nie będzie mi się podobała. — Wszystko, co się pisze, jest dobre w trakcie roboty — później, nędza. Tak... Od czego jednakbym zaczął? Czy od sceny, kiedy ojciec pragnie mnie porwać z domu... zbyt oklepane. A jednak pamiętam to tak dokładnie. Ten słotny dzień, tego eleganckiego pana, którego nie znałem, a który okazał się moim ojcem; ciężko chorą, leżącą w łóżku matkę. W ten dzień widziałem ojca po raz pierwszy od pięciu chyba lat. Nie pamiętałem go zupełnie: i, oto siedzi na brzegu krzesła, — pachnący cygarami i dobrym gatunkiem perfum. Mówi: ...chciałbym go wziąć ze sobą na spacer, sprawić mu przed wyjazdem trochę garderoby i parę drobiazgów. — Pójdiesz ze mną Lucysiu, prawda?

Tak, bardzo pragnąłem iść z nim wtedy, pojechać nawet gdzie zechce, tak mi się podobał. Lecz matka, patrzyła na mnie dużemi, wystraszonemi oczami: — Nie, on nie pójdzie z panem. Ma dość ubrań, on zresztą zapomniał pewnie o ojcu, patrzy na pana nawet z lękiem... proszę, zostaw go pan w spokoju. — Złościło mnie to, że mówiła do niego pan, jabym mu odrazu powiedział: — ty. — Ojciec podniósł się i począł mówić mocnym, pańskim głosem: — Skoro się nie widziało swego dziecka przez pięć lat, to można, — sądzę — ma się prawo popatrzeć nań przy filiżance czekolady. Nic się nie zmieniłaś, zawsze byłaś egzaltowaną mieszczką. Pytam cię tylko, mając na uwadze twoje zdrowie. — Ja stoję pod oknem; włosy mam jak paż i aksamitne ubranie. Matka leży: blademi wargami próbuje coś powiedzieć. Ojciec obejmuje mnie: — No, cóż synu, — pójdiesz z tatusiem, prawda? — Moje oczy wyraziły: tak. Widziałem się siedzącego na brązowym koniu na biegunach, jakże marzyłem o posiadaniu tego konia. — Ojciec mógł mi go przecie kupić. Szybko włożyłem czapkę uczniowską i brązowy płaszczyk z kapiszonem. Jestem gotów, zbliżamy się do drzwi. Lecz oto matka wydaje lekki okrzyk, zeskakuje z łóżka i nerwowo nakłada na

siebie szlafrok: — O, proszę, bardzo proszę... nie być tak złym... proszę zostawić mi dziecko w spokoju... Boże drogi... — Ale ojciec otwiera drzwi, ja już jestem na schodach. Wtedy widzę — to byłoby już naprawdę trudno zapomnieć, — widzę jak na palto ojca, czarne, lśniące palto — bluzga krew. — Matka ślania się i krztusi: z jej ust co chwila wybucha krew, tak, jakby wymiotowała. Dostała krwotoku, — za cenę tego krwotoku ja zostałem w domu. Pomogłem jej podejść do łóżka, krzycząc jednocześnie w okno. Ojca już nie było. Ktoś wszedł i widząc, co się dzieje, pobiegł po lekarza. Matka w dwa miesiące później umarła... czy mi jej było żal?...

Lucjan odwrócił twarz do pokoju. Student spał nad książką — sztywny i nieruchomy. Zegar cykał, w powietrzu słychać było warkot samolotu i stukanie młotków. — Przymknął oczy. — O, matkę często wspominam. Właściwie, nigdy jej nie kochałem. Rodziców się nie kocha, jak się nie kocha własnej ręki; rodzice to absolutna własność dziecka i odwrotnie. Żyje się w łonie matki, zanim jest się zdolnym zdać sobie sprawę, czem ona dla nas jest. Potem wzrasta się przy niej i już za późno jest na sprecyzowanie sobie tego uczucia. Bez rodziców jest źle, — z rodzicami — nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jest dobrze. Mam oczywiście na myśli dzieciństwo. Kiedy mnie matka pieściła, wydawało mi się to zupełnie naturalne; nie rozczulało mnie to, raczej sprawiało przyjemność, taką, jaką doznaje dziecko przy ssaniu własnego palca. Matka, tak, teraz potrzebna mi jest matka; jakże plastycznie widzę jej słodką twarz; była drobna i miała wielkie niebieskie oczy, zawsze zdziwione. Idziemy przez Świętokrzyską: matka z synem — jak to pięknie brzmi. Przystajemy przed wystawą sklepu naukowego „Uranja“. — Wskazuję palcem na żmiję skręconą w mchu na dnie szklanej klatki: — Mamusiu, co to jest? — Żmija! — A dlaczego taka zielona? — Naturalny kolor. — A poco? — Żeby jej nie widać było w trawie? — No to jak ją złapali, jak nie widzieli? — Naokoło śmiech. Matka ciągnie mnie za rękę, odchodzimy kilka kroków: — Nie zadawaj mi głupich pytań i nie rób mi wstydu. — Patrzę na jej twarz — jest gniewna. Idziemy dalej, a ja ciągle widzę roześmianą twarz przystojnego kapitana, który stał razem z nami przed wystawą i też się śmiał.

Student nagle zrywa się z krzesła. Lucjan widzi go, jak biegnie — senny jeszcze — do kuchni, otwiera gwałtownie szafkę, wyjmuje swoje prowjanty i szybko rozpala ogień. Po chwili słychać tłuczenie jajek i skwierczenie słoniny.

...czy śmierć jej, — nie, — tylko okoliczności, w jakich umarła przejęły mnie. Zaraz po tej historii z ojcem wyjechaliśmy na wieś — do babki. Już wcale nie wychodziła z łóżka i jadła niebywale mało. Był lipiec i ja...

...Tak, tak — w tym sensie będę musiał to opisywać.

...po całych dniach uganiałem się z chłopcami po łąkach; ileż to razy błagała mnie wprost, by choć przez chwilę pozostać przy jej łóżku. Zdaje się, że nie uwielbiała mnie specjalnie, — ale zawsze — wiedziała przecież o tem, że umrze, a ja byłem jej jedynym dzieckiem. Tak, — wyjmowała olbrzymią bombonierkę z szafki nocnej i częstowała mnie, jak gościa: — Lusió pobędzie troszkę z mamusią, prawda? — mamusia cały dzień leży i smutno jej, — już pewnie nigdy nie podniesie się z łóżka. — Lusió, popatrz na mnie, nie biegaj tak oczkami po ścianach i nóżki trzymaj spokojnie. — Tak mówiła. — A ja, — owszem, siedziałem, póki smakowała mi czekolada, potem mówiłem, że wyjdę tylko na chwilę, do wygodki i, już mnie więcej tego dnia nie widziała.

— Soli? — nie, nie mam pojęcia gdzie jest.

Potem umarła. O siódmej rano — w niedzielę. Stałem w oknie i obmyślałem plan dnia; naprzeciw widziałem księdza w oknie, gołącego się przed lustrem. Słyszałem, jak babka i służąca przynosili matkę z sypialni do saloniku; — robili to codziennie. Słońce piekło mnie w twarz i szyję; czuło się święto w powietrzu i świeżość błogą. Za mną rozległ się drżący głos babki: — Jadziu, czegoś ty taka zimna? — Oj, to nic, to tylko tak — matko. Ułożyli ją na usłanej poduszkami kozetce i, raptem usłyszałem jej szybki, urywany oddech. Chwilę trwała cisza, potem krzyk babki: — Jadziu! Umarłaś!? — Odwróciłem się powoli od okna i spojrzałem na matkę: leżała nieruchomo i była blada. Sądziłem, że zemdlą. — Nigdy nie wierzyłem w śmierć. Myślałem, że to bajka starszych, — tak ciągle mnie okłamywali, że już w nic nie wierzyłem. Pobiegłem po wodę i chciałem pokropić nią twarz matki, ale babka wyrwała mi szklankę z ręki, ze słowami: — Przecież jej to nic nie pomoże, a przerwie konanie. — Spojrzała na mnie ze złością, zawsze była skora do strofowania mnie, nawet w tak ważnej dla niej chwili. Wybiegłem z domu i zapukałem w okno gołącego się księdza. Otworzył je. Z mieszkania owinął mnie zapach trupi. — Proszę pana — powiedziałem, (nigdy nie mogłem powiedzieć księdzu — księżu) babcia prosi o książkę do nabożeństwa, bo ta nasza w domu, jest za mała. — Dziecko, (śmiesznie wyglądał z namydlonemi policz-

kami, z pędzelkiem wzniesionym do góry) książka do nabożeństwa nie może być za mała. — Tak, ale mnie matka umarła — powiedziałem z dumą. — Wytrzeszczył oczy: „umarła, umarła pani Jądwiga? — zaraz przyniosę książkę“. Kiedy wróciłem do domu, przy zwłokach matki, po obu stronach jej głowy, zobaczyłem dwie palące się, w czerwone kwiatki malowane, gromnice. Babka, ciotki i służąca — klęczały. Stałem w kącie i patrzyłem na to wszystko. Serce moje uciskała ciężka złość. Wyszedłem z domu, minąłem zabudowania i szedłem w upale przez łąkę, deptając kwiaty. Wzbierał we mnie dziecięcy gniew na udawanie babki; wiedziałem, że dawno pragnęła śmierci matki: „ciągle tylko skakać koło niej“. — Jednocześnie rozkoszowałem się swą tragedją: oto tam leży trup matki, zgásłej przed godziną, a ja — sierota. Chciałem płakać, ale nie mogłem łez wycisnąć, — przeciwnie, chciało mi się śmiać. Zdeptałem pszczołę wraz z kwiatkiem. Było potwornie gorąco; stanąłem nad brzegiem stawu i patrzyłem na ryby w prześwietlonej wodzie. Rozebrałem się i wszedłem do wody po kolana: o, gdybym teraz utonął — mówionoby, że z rozpacz, po śmierci matki. Janek, syn aptekarza patrzyłby na mnie z żalem i z szacunkiem. Babka znowuż zagrałaby swą komedję z gromnicami. Zanurzyłem się nieco głębiej, ale kiedy poczułem wodę po ramiona, cofnąłem się z okropnym strachem. Wyszedłem z wody, ubrałem się i przeleżałem na trawie ten dzień tragiczny.

Potem szedłem za trumną matki i дума rozpierała mi pierś, że wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem: — jedyny syn. Dowiedziałem się później, że ten ksiądz był w wielkiej przyjaźni z moją matką i że znali się od dziecka. — Babka miała z nim jakieś awantury, bo nie pozwolił by pochowano matkę na poświęconej ziemi; że niaby matka nie chciała wypowiedać się przed śmiercią. Ten ksiądz to mnie bardzo nie lubił...

Na progu alkowy stanęła jak wesołe widmo stróżka. Siedemdziesięcioletnia staruszka o figurce dziewiętnastoletniej panienki. Uśmiechnęła się do Lucjana zalotnie i powiedziała, poco przyszła: — Przysłał tu po meldonek. — Podczas gdy Lucjan wypełniał kartę, ona mówiła nie pytana: — Nie jestem nudząca, ale musiałam przyjść po metrykę, bo tu u pani Stukonisowej ciągle nowe lokatory, a kazali mi na nią uważać, bo ten Ziutek, wie pan. — Staruszka była wprost śliczna. Mówiła szybko, ciągle uśmiechnięta, ze zmrużonymi oczami: — Człowiek tak jest na żydowskim chlebie, a dwie nas tu jest — jeszcze siostra moja, co to panu pokazała,

jak pan pierwszy raz był. Obieśmy panny i nigdy się nie wydamy.— Lucjan przytaknął, śmiejąc się serdecznie. Staruszka ciągnęła: — zawsześmy się modliły i Pan Bóg nam tego nie zapomniał; bo mamy kawalek chleba, izbę i sześćdziesiąt złotych na miesiąc. — Poblisko jest kościół, to jeszcze człowiek może żyć z temi żydami. Już pan spisał, to niech pan da jeszcze metryczkę, to jutro poniosę do komisarijatu. — Chyba pan student, wszystkie studenty wylegują się po całych dniach. — Lucjan wręczył jej papiery i fertyczna staruszka wyszła.

Student zabrał się z powrotem do nauki; czytając, dojadał chleb. Lucjanowi zachciało się jeść; uświadomił sobie, że pora obiadowa już minęła. Szybko nałożył marynarkę, poczem wyszedł na ulicę.

Deptał błoto wspominając swoje myśli — tam, na łóżku. Teraz już napewno weźmie się do pracy. Czy można jednak pracować w tych warunkach, czy mi pozwolą pisać. Jestem zresztą leniwem bydlęciem: pracować można wszędzie, jeżeli się tylko chce.

Jadł obiad w obrzydliwej, zasądzonej kawiarence. Za oknami kapalo z dachów i widać było małe, źle brukowane podwórko. Jedząc, słyszał stamtąd trzaskanie drzwiami ustępu, — wchodzili i wychodzili z niego różni ludzie; mężczyźni zapinali sobie spodnie na podwórku.

Lucjan przesiadł się do innego stolika i tam skończył rzymską pieczeń. — Przejrzał gazetę, zapłacił i wyszedł na ulicę. Z przejeżdżającego tramwaju ktoś mu się uklonił. Na rogu kupił kilka papierosów, — wracał do domu z niechęcią; twarz owiewał mu ciepło-mdły wietrzyk, a na maleńkim skwerze leżały brudne płyty śniegu.

Br... jak mu jest źle. Przecież ma dwadzieścia jeden lat i wszystko powinno go cieszyć; a może wmawia w siebie neurastenję. — Jestem rozleniwiony smarkacz i brak mi woli. Na schodach ogłuszył go warkot maszyny do szycia, zastukał do drzwi — znowuż ta ogłupiała twarz studenta. Położył się. Podły obiad uciskał mu żołądek — w ustach czuł gorycz. Skóra na głowie swędziła go nieznośnie i ręce miał wilgotne. Ktoś pukał we drzwi — przyszedł Zygmunt. Był lekko podpity, — usiadł przy Lucjanie i chuchał mu alkoholem w sam nos. — Spotkałem w „Małej“ starego Kabla i wstąpiliśmy do Wróbla na parę kieliszków. Pytał o ciebie. — Wstań, mam trochę floty — pójdziemy coś wypić. Źle się czujesz, niedobrze ci? — tak, nie jest nam dobrze.

— Doskonale, ale dokąd pójdziemy? — pod „Merkurego“ — świetnie. Lucjan się ożywił; pójdziemy się urządzić, masz rację, Zyg- musiu — to nam zrobi dobrze.

Szli prędko i nic nie mówili do siebie. Obaj mieli jedną myśl: wypić jak najprędzej. Na Niecałej zatrzymali się przed koszem z książkami, — taniemi i brzydko wydanemi. Zygmunt wybierał, wreszcie kupił dwie: Lucjanowi podarował „Ingeborgę“ — Keller- mana, ze słowami: „masz i naucz się kochać“, sobie zatrzymał Ko- chanowskiego. Pocałowali się i weszli do wnętrza baru. Stanęli przed bufetem. Zygmunt zwraca się do Lucjana: — Jaką będziesz pił? — czystą z balsamem, — dobrze, ja taką samą — proszę dwie. Wypili, — popatrzyli na siebie i zaraz kazali jeszcze napelnić kie- liszki. Zakąsili kanapką ze śledziem. Stali oparci o bufet. Zyg- munt powiedział: — wiesz, że doskonała jest ta czysta z balsamem, tak... rozjaśnia.

— Dobra jest również czysta z wermutem, — to mój wynalazek.

— E, gdzie tam twój wynalazek, — wykombinował to — proszę cię — Klimek. Pamiętasz chyba, — u „Wróbla“, a, ciębie wte- dy nie było. No, może teraz tej — z wermutem?

— Nie, — czekaj; to jeszcze po jednym z balsamem, a potem mo- żna z wermutem.

— O, doskonale, fenomenalnie... podobasz mi się, Lucjanie. Pro- szę — nasyp pan.

— Twoje zdrowie, pierwszorzędna jest na żołądek, posiada taką goryczkę, prawda?

— Tak, goryczkę — może usiadziemy?

— Można, ale przed tem z wermucikiem — panie święty — tak, pod boczek.

— Ty jedz boczek, a ja sobie minogę. Ty sobie, a ja sobie. Lucjanie, bajecznie, żeś przyjechał. Szkoda, że nie ma „dziadzi“.

— Szkoda, — błagam cię Zygmsiu, wypij. — Genjalny miałeś pomysł, wyciągając mnie z domu, czułem się jak gówno w prze- rębłu.

Siedzieli teraz przy stoliku i patrzyli na siebie z ogromną miło- ścią. Jedli z apetytem, Lucjanowi poróżnowiały policzki.

— Wiesz co, Zygmsiu? — tak, na kieliszki, to drożej wyniesie. Możeby butelkę, tak dawnośmy się nie widzieli!

— Owszem, to nawet dobry pomysł. Panie, proszę całą butel- kę, tylko żeby była zakorkowana, bo wy, tak... lubicie... tego. Świetnie się czujemy. Ja ciębie — wybacz Lucjanie, ja ciębie kie-

dyś obrażem: powiedziałem wszystkim, żeś zwędził Norwida Marjanowi — ten tom Chimery. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem, — wypij na zapomnienie, noo — rryms.

— Tak, a ja wtedy miałem wiele nieprzyjemności. Postąpiłeś Zygmusiu nie jak kolega, a jak kanalja.

— Zjedz grzybka, powiadam ci, fenomenalny grzybek. Rzeczywiście, postąpiłem jak gówniarz ostatni, — ale przecież... przecież przepraszam cię — nie?

— Co mi z tych przeprosin, a wtedy rzuciłeś plamę na moje imię. Twoje zdrowie. — Tak, plamę na moje imię... nie spodziewałem się...

— Bardzo żałuję, ale... już... finis, nie mówmy o tem.

— Jakże mamy nie mówić o tem, co mnie najgłębiej...

— Ależ proszę ciebie.. przecież sam zacząłem o tem mówić... no, i przykro mi, — dajże spokój, — kropnij sobie, to ci przejdzie ten zajob.

— To zawsze! Świnia jednak jesteś, Zygmuncie.

Kiepura śpiewał przez radjo „Aj-aj-aj“. Na ulicy szarzało, — księgarz wołał: — Co w koszu do wyboru — dzieła najznakomitszych pisarzy! — O nogę Lucjana ociera się rudy, tłusty kot. Zygmunta pisze coś na kawałku bibuły.

— Ten Kiepura to zrobił karierę, ma bajeczny głos, ale podobno drań w życiu prywatnem. Taki jołop. Wypijmy Zygmusiu, co tam piszesz?

— List do ciebie.

— A. — Swoją drogą twoja kalumnja obila się o mnie, jak o pancierz. Co ty miałeś za cel, żeby szczeukać o tym Norwidzie, to nie rozumiem.

Ryszard wręcza bibulkę Lucjanowi. Wypija kieliszek, potem wstaje. Lucjan czyta: — Nie mogę pić z człowiekiem, który się czepia byle czego, jak rzep...

— Zygmuś! gdzie odchodzisz, zwarzjowałeś? — koniec, koniec, — zapomnij — chodźże tu!

Zygmunt wraca. Siada ponury i wychyla kieliszek. Chwilę milczą. Z bocznego pokoju wyprowadzają rozrzewnionego urzędnika akcyzy; jego niebieski mundur jest świeżo i suto poplamiony.

— Ten Szczapiej, to bydlę skończone... nadkończone... wykończone... bydlę. Haha-ha.

— Szczapiej bydlę... butelka na dwóch... a, racja... jeszcze przy bufecie coś było. No, Lucjanie, Polucjanie... ach ty stara, kochana

dupo. No, kropnijmy sobie, — a potem — jak mówi Klimek — w siną dal.

— Czuję się tak... świeżusio. Wiesz, moje życie, to tani efekt. No, lu... ha-haha. — Wykończyliśmy ją, co? — taka teraz puściutka, jak głowa Wolicy... Avanti popolo... — Zygmuś, jak się czujesz... fenomenalnie? — A możeby tak... po rumku... przed wyjściem. — Halo, panie, — kota z długą szyją — krajowego. Pip... pip... co z nas będzie, jesteście ciężarkami u nóg Pana Boga... tral... tral... tralalala...

Zygmunt kazał sobie przynieść talerz rosółu; wypił kieliszek rumu i począł wyławiać makaron, co bardzo śmieszyło Lucjana. Zygmunt krzyczy: — proszę o piwo; potem bierze kartę menu i pisze wiersz. W barze jest jasno i kręcą się różni ludzie. Fortepian i skrzypce. Liebesleid Kreislera. Ludzie piją... piją.

— Panie, płacić... pła...ać. Lucjanie, wyjątkowo pójdziemy prosto do domu, muszę pisać recenzję do „Cedra“... wyjątkowo do domu. Co, dwadzieścia pięć złotych?! — jak ten pieniądz leci, na złamanie karku. Proszę. — Chodź draniu.

Stanęli przed barem. Mijało ich wielu ludzi, wąska ulica była jasno oświetlona. Z dachów opadały ciepłe krople.

— Co, do domu? — nigdy w życiu... przenigdy. — Zygmuś, błagam cię, chodź do Saskiego Ogrodu... na łabędzie. — Wiosenka tak pachnie... jemiolą... hahaha!

— Zwarjowałeś chyba. — Saski Ogród. — Chodź do... łabędź — burżuazyjny ptak, głupi jak jasna cholera... do domu jedziemy... doróżkaaa.

Wsiadają. Panie, ten koń... świetne zwierzę. Na Nowiniarską osiem mieszkania trzy. Holl-lala, holl-lala. — A, rzygasz, — mówiłem nie żreć rosółu po kocie z długą szyją. Aleśmy się wtranzolili... rzygaj sobie, rzygaj... poeto... — Ale jutro będzie kacenjamer — hoho. — Panie, w lewo. — No, co? — masz chustkę?... obrzygałeś mi „Ingeborgę“...

— Lucjanie, o — jak cierpię. Chodź, zawracamy do Ogrodu Saskiego... na łabędzie.

— Przenigdy... do domu, musisz recenzję pisać. Do domu... do domu... w bordelu, kędy zacne mamy leże... pamiętasz Villona. Łabędź... wiesz... burżuazyjny... no, razem: la biondina capriciosa... garibaldina... tral... lala. Co, nie możesz rzygać znowu? — mój Boże kochany, kto to je rosół z makaronem po rumie... do rumu kaw-

ka. Stop, już jesteśmy na miejscu. Panu... dwa złote... proszę. — Wsiadaj blada małpo... nuże.

Wchodzą ciężko po schodach. Na podwórku szczeka pies. Otwierają, jasny gwint! Wchodzą. Zygmunt odrazu wali się na łóżko i po chwili już chrapie. W kuchni zjawia się Stukonisowa: — Widzę, żeście się spili, ale pan ma mocniejszą głowę od mego Zygmunta.

— Co, ja mocniejszą — nigdy w życiu, tylko energii — uważa pani — nabrałem w górach. Tak. — Pragnę z panią pomówić o finansach, ile ja mam płacić?

Stoją w kuchni. Obok „Ziutek“ czyści sobie buty. W drugim pokoju słychać śmiechy kobiet. Syczy woda w czajniku. Stukonisowa spogląda wdół swemi wyblakłemi oczami, mówi z fałszywym zawstydzeniem: — Sama nie wiem, no, ile panby mógł płacić?

— Niech pani odrazu wymieni sumę razem ze śniadaniem... tylko już, bo mi się chce spać wprost niebwyale.

— No to: mieszkanie dwadzieścia pięć złotych, śniadanie piętnaście, no i za światło pięć złotych.

— Zgoda, o, proszę, już bułę. Kto tam się śmieje w tym pokoju, — zajrzę, — o, jakaś pani w majteczkach. — Orewuar, jestem śpiący, ale jutro będzie złe czucie, prawda, panie?

Student kiwa sennie głową nad książką. Stukonisowa jest pochylona nad szufladą. Lucjanowi huczy w głowie; siedzi na brzegu łóżka i patrzy przed siebie: — zastanawia się czy czy nie pójść jeszcze gdzieś na kawę. Obok przechodzi „Ziutek“ śmierzdzący pastą do butów. Idzie pochylony i ociekający wodą, do lustra: ma zmoczone włosy. Odpycha matkę: — no, dajże się stara uczesać. — Robi sobie równiutki przedział grzebieniem Lucjana, który widzi to i odzywa się:

— Panie, a czemuś się pan czesał, jak mnie nie było? — Może pan niezadługo zacznie zęby czyścić moją szczoteczką — pewnie pan wogóle nie czyści. Panie, trochę higieny, zostaw pan ten grzebień.

— Cóż to za awanturę pan tu robi, wytrynię pana stąd razem z tym grzebieniem... na takich to jest sposób.

Lucjan wstał i podszedł do „Ziutka“ — już się zamierzył by go wyrznąć w gębę, gdy student się zerwał i stanął między nimi: — Nie róbcie tu hałasów, egzamin mam za kilka dni. Idź pan spać. —

Panie Ziutko, ja jestem spokojny człowiek, ale jak panu przypierdolę w ryło, to pana rodzony Lenin nie pozna. Z geodezji mam здаwać...

Teraz zabrała głos Stukonisowa: — Ziutek, ty gudłaju jeden, czego pana obrażasz. Na rozbój niedługo pójdiesz... nie rusz, co nie twoje. — I Stukonisowa wraca do swojej roboty.

„Ziutek“ podchodzi do etażerki, chwilę grzebie w książkach, potem patrzy na matkę, wskakuje na kanapę i zpod portretu Piłsudskiego wyjmuje jakieś papiery. W tej chwili Stukonisowa odwraca głowę i mówi powoli: — Ty draniarzu, co tam za papiery chowasz, pewnie znów idziesz na jaki wiec. Żeby ci już raz na fest mordę zbili, żebyś już więcej nie mógł chodzić. A to czort małpiarski, znowuż mi rewizję do mieszkania sprowadzi, — że też człowiek musi się męczyć z taką cholera. W kogo to się wdało.

Ziutek gwizdząc zeskakuje z kanapy, nalsłada palto i wychodzi. Stukonisowa pochyłona nad bielizną, śpiewa monotonną, pobożną pieśń. Student patrzy w książkę i dłubie w nosie. Zygmunt chrapie. Jest spokój i cisza. W ustępie ktoś stęka i szeleści papierem— nie przeszkadza to Lucjanowi czytać „Metamorphoseon“ P. Ovidiusza.

In nova fert animus mutatas dicere formas
Corpora. Di coeptis, nam vos mutastis et illas,
Adspirate meis; primaque ab origine mundi
Ad mea perpetuum deducite tempora carmen.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Do siódmego roku życia spałem na podłodze. Rozkoszne miejsce między ciepłymi ciałami rodziców, w łóżku, zajmowała moja sześciolatka, mizerna siostrzyczka, chora na gruźlicę.

Lecz zaraz na drugi dzień, po jej śmierci, ojciec powiedział do matki:

— Nie ściel małemu na ziemi. Może spać z nami.

Z okrzykiem radości wskoczyłem do ojca pod koldrę.

Później jednak, kiedy podrosłem, musiałem wrócić na podłogę. Między rodzicami nie mogłem się zmieścić. Zresztą, już wtedy lubiłem swobodę. Bo najlepiej jest spać osobno. Dziś rodzice moi spoczywają sobie także osobno, nawet nie wiem, gdzie, w jakichś wąskich, zapadniętych dołach, w gliniastej, rozmakającej na wiosnę ziemi, daleko, na cmentarzu, za rodzinnem miasteczkiem.

Nietylko więc śpię sam, na łóżku, ale czasem nawet i mieszkam sam, zupełnie sam, w jednym dużym pokoju. I nie w małym, prowincjonalnym miasteczku, tylko w dużym mieście. I okno mego mieszkania już nie wychodzi, jak w dzieciństwie, na dwie budki ubikacyjne, zbite z żółtych, nieheblowanych desek.

A nawet jestem kapryśny. Lubię, jeśli głos mam ja, nie zaś — gospodyni. I mieszkam tylko w takich kątach lub pokojach, które mnie czemś przyciągną. Bo pokój może mieć wabika, jak kobieta. Jeśli go nie ma, wyprowadzam się. Nie mogę mieszkać. Czuję się więźniem.

Bardzo często, choć zapłaciłem za miesiąc zgóry, latam za nowym pokojem.

Lecz w ostatnich czasach tak się złożyło, że każde z mieszkań miało jakąś niezwykłą zaletę, gospodynie zaś zaczęły mnie pokolei brać pod nogę.

Zirykowałem się i choć z żalem, opuściłem pierwsze mieszkanie.

Miało ono fascynującego wabika: budziło we mnie tęsknotę... Jak zresztą i dwa następne. Gospodyni, z którą mieszkalem w jednym pokoju (zajmowałem tylko kąt — stało tam moje łóżko) była zawodową pijaczką. Zawsze rano, przed wyjściem do pracy,

i wieczorem, do snu, pociągała z zielonej karafki jednym haustem. Po przelknięciu, wołała na cały głos:

— Aach! tfu, psiakrew!

Miała lat 68, wyglądała na czterdzieści parę. Na schody wbiegała pędem. Zbiegała z nich rano. Wracała wieczorem. I to było przykre. Wychowywała trzynastoletniego wnuczka, Marjana, którego jej córka podrzuciła. Ale ten mi nie przeszkadzał. Stale siedział nad Wisłą, chodził na mecze bokserskie lub do cyrku.

Kiedy stara wracała do domu, o siódmej lub ósmej wieczorem, grzecznie siadałem na łóżku, i czytałem książkę — pociemku.

Zanim wpadła, gasiłem lampę.

— Panie Jopcik! — wołała od drzwi — jestaj pan?

— Jestem — a jakże, jestem — odpowiadałem z ciemności. Czytam książkę...

— Bodaj pana cholera! — śmiała się.

— A nie może pan lampy zapalić?

— Ee — szkoda światła — mówię.

— Idź pan tam do cholery! — irytowała się. Co to ja dziadówka?!

Aż raz wpadła jakoś po szóstej, zanim zdążyłem lampę zgasić.

Na dworze było jeszcze widno. Ale w niskim pokoju, o małym oknie, było już zupełnie ciemno. Długi, sępi nos zagiął się jej jeszcze bardziej w dół. Skoczyła ku lampie, z krzykiem:

— A cholera na pana!

I — fu, fuch! — zgasiała.

Posiedzieliśmy tak parę minut. Ja odskoczyłem na swoje łóżko. A ona koło stołu. W pięć minut po wybuchu, zawołała zupełnie spokojnie:

— Panie Jopcik?

— Co? — zapytałem.

— Czy Manusia nie było?

— Nie.

— Zaraza na tego szczeniaka!

Znów posiedziała chwilę i mruknęła:

— Ciemno, psiakrew, w tej dziurze!

I zapaliła lampę, nie patrząc na mnie.

Ale nie osoba właścicielki, ani jej dziwactwa, ani jej wnuk, były tem, co od pierwszego dnia przykuło mnie do owego mieszkania. Właściwie, to w tym pokoiku, na piętrze piątym i pół, z jed-

nem małeńkiem okienkiem w niszy, było przez cały dzień ciemno. Siedziałem ciągle w półmroku, jakby stale o zmierzchu.

Gdy tylko wyszła babka, a za nią wybiegł, gwizdząc na czterech palcach, swawolny wnuk — kładłem się na otomanie, którą stara zawsze trzymała w brudnym, grubym pokrowcu. Drzwi zamykałem na klucz. Byłem bezpieczny. Listonosz do nas nie przychodzi. Stara miała na świecie tylko wnuka. A ja — nikogo.

Zabierałem się do pracy. Czytałem, pisałem, zawsze leżałem. Miałem dużo czasu.

Dopiero po południu schodziłem na miasto, na przygodne zarobki.

I wtedy to zaczynało się owo przedziwne misterjum.

Ani z dołu, z ulicy, ani z podwórza, nie dochodził do mnie żaden głos. Było cichutko. A okno, zawsze mocno zabite, nie wpuszczało głosów miasta.

Bardzo często, przerażony ciszą, zrywałem się z otomany, gdyż zdawało mi się, że pokój wypełnia okropny krzyk.

Było w tej ciszy coś straszego. Lecz przywiązałem się do niej.

Odrazu, w tych godzinach porannych, pogłębiałem się, stawałem się dobry, myślący. Nawet czułem czasami, że jestem jakiś piękny, dziwny — daleki samemu sobie.

Dopiero, gdy się stamtąd wyprowadzałem, zauważyłem to, co tak działało na moją podświadomość.

Mieszkanie miało zupełnie kształt grobu. Wielkiego grobu rodzinnego, krypty, do której się wchodzi po schodach, jak do piwnicy — między dwiema latarniami o fioletowych szklach.

To było właśnie dziwne, że zawsze myślałem w tych godzinach o śmierci.

Prostu — czułem ją. Myśli, niby ociekające wodą koła, rozpedzały się i szumiały, jak daleki młyn w nocy. Przeszacowywałem swoje życie, zmieniałem poglądy.

I wtedy, w półmroku, wobec tego grobowego okienka, coś się jeszcze poczynało dzieć.

Dobiegał do uszu moich bardzo daleki głos muzyki. Ale tak daleki, jakby z za stu ścian, jakby przez ocean wody.

Książki wypadają mi z ręki.

Zdawało mi się, że leżę w trumnie. Nieruchomo. Jak kamień. Tylko słyszę daleką, daleką melodię muzyki, jakby jedyny dla mnie dostępny głos świata, który opuściłem...

Ta muzyka była niesamowicie piękna. A raczej jej jeden dźwięk, cieniutki, nierealny, jakby pamiętany ze snu.

Gdym tak leżał — umarły — miałem dwie wielkie łzy w oczach, przez które patrzyłem na niewidzialny świat, pełen miłości i tęsknoty za życiem.

Dziś mi się wydaje, że mogłem tam popełnić samobójstwo. Śmierć w tem mieszkaniu stała się dla mnie czemś zwykłym, codziennym.

Jednakże wyprowadziłem się stamtąd. Inaczej nie mogłem. Ponieważ stara jeszcze jeden kąć wynajęła jakiejś kobiecie, która także po całych dniach siedziała w domu.

Na ostatku dopiero dowiedziałem się, że niżej, na trzecim piętrze, mieszkali jacyś państwo, którzy zawsze rano, o tej porze, podczas śniadania, nakręcali sobie gramofon.

Muzyka, przy pomocy niepojętych właściwości akustyki, pięła się po ścianach, w górę, na szóste piętro, do mnie, niby głos z zaświatów.

Następnie mieszkałem także w Warszawie, w Alejach Jerozolimskich, ale na drugim piętrze. Nie lubię drugich i trzecich pięter. To za nisko. W takim mieszkaniu trudno jest myśleć.

Nie było innego wyjścia. Musiałem się tam wprowadzić, gdyż od paru dni trzymałem rzeczy na dworcu kolejowym, w przechowalni.

Norka miała wysokie i wąskie okno, które wychodziło na ulicę. Spojrzałem przez nie i powiedziałem:

— Dobrze.

Dałem zadatek.

Za oknem padał deszcz. W dole, trochę na lewo, widziałem duży kawał ulicy. Był już wieczór. Długi rząd baniastych, zielonkawych latarni mgliście oświetlał pas jezdni. Lśniła, mokra właśnie i śliska. Odbijały się w niej, jak w czarnej, mieniającej się wodzie, długie słupy latarni i smugi światła.

Ale i tam nie mieszkałem długo. Wypędziła mnie gospodyni, mała ropucha o zezowatych oczach.

Ciągle tylko wołała za mną, gdyż był to dom trochę lepszy:

— Panie Jopcik, proszę porządnie wycierać nogi!

— Dobrze! — odpowiadam.

— Panie Jopcik, mówiłam przecież panu, że wodę na herbatę może pan brać tylko dwa razy dziennie! A pan pije co pięć minut.

Teraz ja zacząłem kląć.

Nigdzie nie mogłem się ruszyć. Wszędzie ktoś na mnie włożył. To mama, to córeczki, to synalek.

Najczęściej gonił za mną, ilekroć głowę wysadziłem — głupi, wrzaskliwy foks. Ten pies nigdy nie dawał mi spokoju. Nieraz próbowałem pozyskać sobie Chlapusia, częstując go kielbasą, jedy-
ną ozdobą mych samotnych uczt. Brał ją podejrzliwie z mej ręki, końcem warg, zanosił do kąta, obwąchiwał, pożerał, i natychmiast, dławiąc się jeszcze, domagał się następnego kęsa. Nigdy nie wierzył, gdym pokazywał mu puste dłonie, powtarzając powoli i wyraźnie: niema!

I dodawałem pieścizliwie, na widok przechodzącej pani domu: — Niema! — Niema już, Chlapusiu, papusiu dla Chlapusia.

Patrzył z pod oka, chytrze i gniewnie. A nazajutrz zapominał o wszystkim i znów rzucał się na mnie.

Znienawidziłem ten pokoik jeszcze dlatego, że w nim nie mogłem sobie przypomnieć ani jednego snu.

Najgorzej wpadłem ostatnio. Pokoik spodobał mi się odrazu. Poprosiłem właścicielkę, aby wyszła, gdyż chciałem się namyśleć. Zostawiła mnie samego, na godzinę próby. Położyłem się na łóżku. Okno tam było wprost zachwycające. Leżąc, patrzyłem na nie z radością. Ogromne, dwa metry wysokości, z żaluzją, rozkosz. Dałem się na to złapać. I było jeszcze coś, co odrazu spostrzegłem. W ścianie, nad łóżkiem, syczał wentylator: mały kwadracik, okrątowany, z rączką. Za nim — ciemny kanał.

Kiedy się zamyśliłem, usłyszałem coś, co mi przypomniało pierwsze mieszkanie: głosy w tej kratce. Zerwałem się i zacząłem słuchać. Ktoś gwizdał. Monotonna, tęska melodia. Jakaś rozmowa. Głos gruby i drugi: słaby, kobiecy.

Było to zupełnie proste. Pode mną mieściła się suteryna. Odrazu przecież zobaczyłem okno — pod moim oknem — jak tu wchodziłem. Stały na niem maleńkie wazoniki i leżała pęknięta, różowa lalka.

Osiadliłem się tutaj na dłużej. A zaraz na drugi dzień zdarzenia poczęły mknąć w zastraszającym tempie. Musiałem przestać myśleć o wabikach. Metafizyka ustąpiła miejsca sprawom prymitywnym, śmiesznym, a nawet trywjalnym.

Bardzo rano, niezupełnie ubrany, poszedłem szukać umywalni.

Gospodyni opowiadała mi, że jest łazienka, że jest umywalnia, — wogóle wszelkie wygody.

— Jest wszystko, czego pan zechce — powiedziała.

Natknąłem się właśnie na nią i odskoczyłem. Twarz miała skrzywioną, jak furja. Dosyć ładne, interesujące wczoraj oczy, były dziś złe i wstrętne.

— Ooo! — krzyknęła na mnie — dziękuję, jak mi pan tak znacznie łaźić po domu z samego rana!

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, zniknęła.

Znalazłem łazienkę, umyłem się, i na palcach wróciłem do pokoju. Ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć innej obiecanej ubikacji. Zaglądałem wszędzie, gdzie drzwi były niedomknięte, i — wszędzie nie to.

Tu jakaś śpiżarka. Tam — rupieciarnia.

Wreszcie dałem spokój i usiadłem na łóżku, pełen rzyznacji. Bałem się wyrzec, czułem, że tej baby nie przekonam w żaden sposób. Odrazu spostrzegłem, że przy niej nigdy nie dojdę do głosu.

Około godziny dziewiątej, odważyłem się wyjść. Poszedłem do kuchni i znów oko w oko, spotkałem się z nią.

— Przepraszam bardzo — zaczęłem grzecznie lecz zimno, — czy ja dostanę herbaty? Już dziewiąta...

— A jakże, dostanie pan! — machnęła mi ręką przed samym nosem, idąc wprost na mnie.

— A ma pan herbatę?

Milknę, ze zdumienia. Zaciskam powieki, aby zdobyć w ten sposób jak najwięcej przytomności. Doskonale pamiętam przecież, że wczoraj umówiłem się, ale z esencją.

I odpowiadam, z wielkiem zażenowaniem:

— Ach, przepraszam, zapomniałem! Zaraz kupię. Ale szklaneczki to mi pani pożycz, prawda? — ośmieliłem się zapytać.

— Szklanek? Nie ma pan swojej? No, no...

— Nie mam, zawsze mi wszędzie dawano.

— Mój panie — przerwała mi — jeśli pan...

Ale ja szybko dodałem:

— Dobrze, dobrze! Dziś sobie kupię. I co jeszcze?

Wyliczyła mi wszystko:

— Kupi pan czajniczek do herbaty i na wodę. Bo ja swego nie dam! U mnie mieszka jedna pani...

— Co jeszcze?

— Szklanek — ile pan sobie chce, spodeczek, łyżkę, nóż, widelec.

— Dobrze! — krzyknąłem i uciekłem do pokoju, jakbym się śpieszył po kupno. Przez ścianę słyszałem, jak jeszcze mówiła do mnie:

— Mój panie... Patrzcie, no... To mi się pierwszy raz zdarza, żeby...

Widocznie i jej dużo nowych rzeczy się zdarzyło, podczas naszego pierwszego spotkania.

Wróciwszy ze sprawunkami, przez dziurkę od klucza zacząłem pilnie obserwować korytarzyk.

— Gdzie jest ta przeklęta ubikacja?

Mieszkanie teraz zaroilo się od ludzi.

Usłyszałem dwa głosy męskie: jeden gruby, zachrypnięty, a drugi młodzieńczy. — Zauważyłem w końcu, że kobieta za kobietą wchodzi w pewne drzwi, nawprost, przekręcając kontakt na drugiej ścianie; wychodzą, a potem długo słychać szum ciekącej wody.

— Ach!

Ostrożnie, pocichu drzwi otwierając, wyszedłem na korytarz. W tej samej chwili otworzyły się inne drzwi obok, i jakaś panna w pyjama, uprzedziła mnie. Nerwowo, nie wiedząc, co robie, gwałtownie wpadłem do kuchni. Gospodyni, która tam właśnie kroił chleb — krzyknęła z przestachu:

— Ach, Boże, jak pan chodzi!

— Przepraszam — rzekłem — czy ja mogę prosić o herbatę? Garnuszek już kupiłem. — Lecz nie skończyłem. Skoczyła ku mnie. Nie krzyczała, ale wyla:

— Co pan mi chce na głowę wleźć?! Czy pan oszalał? Ciągłe łazi za mną i łazi! Djabli mogą człowieka wziąć! Ach, żebym wiedziała, jaki pan jest! Nigdy, nigdy! Niech się pan lepiej zaraz wyprowadzi, bo mnie pan zamorduje. Zaraz — dziś!

— Ależ — proszę panią...

Chciałem się wytłumaczyć, że jeszcze nie wiem, gdzie co jest, ale nie mogłem, nie słyszałem własnych słów.

Krzyk jej przeszedł w płacz. Spazmowała, jęczała.

— Do służącej — do służącej niech się pan zwróci! On mnie chce zamęczyć! Ja jestem bardzo zajęta osoba, a pan tego nie widzi.

Krzycząc i płacząc, przeleciała obok mnie, i pobiegła w głąb mieszkania, trzaskając drzwiami.

Dopiero nad wieczorem zdążyłem ochłonąć. Wyjrzałem przez dziurkę od klucza. Musiałem koniecznie wyjść. Zdjąłem buciki. Bez skrzypnięcia wyszedłem. W skarpetkach skradałem się do upragnio-

nych drzwi. Przekreśliłem kontakt. Zaledwie jednak zdążyłem się rozejrzeć na nowym miejscu, na korytrze rozległy się szybkie kroki. Poznałem ją. Pędziła wprost do drzwi, za którymi siedziałem. Widocznie przez szybę u góry spostrzegła światło. Podbiegła do kontaktu. Mruknęła do siebie:

— Już ktoś zapomniał!...

I pochłonęła mnie ciemność. Lecz w tej chwili, jak szalony, kopnąłem we drzwi.

— Do cholery tam! — ryknąłem na cały głos.

W następnej sekundzie pożałowałem tego. Światło mi zapalono.

A na korytarzu powstał ruch. Otwierały się drzwi, jedno po drugim. Słychać było głosy mężczyzn i kobiet, stukot wielu nóg i szepty tuż pod drzwiami.

Oparty o ścianę — drżałem. Byłem przygotowany na masakrę, w której padnę ofiarą.

Jednym pchnięciem otworzyłem drzwi, i wyskoczyłem cicho, od razu na dwie nogi.

Drogę zagradzał mi tłum ludzi. Tuż — stał ojciec. Lecz nie olbrzym, tylko maleńki człowieczek, z garbem na piersiach.

Patrzył mi w oczy smutno i z wyrzutem.

Za nim — syn. Ten bódl mnie groźnie oczyma. Był wysoki i barczysty.

Pod ścianami stały ciotki, córki, krewniaczki. Siwe, rozczochrane, z wyciągniętymi pięściami. Oczy jednej, załzawione, półślepe — patrzyły na mnie z niezmierną pogardą.

Ruszyłem naprzód.

Tłum się rozstąpił.

Dopiero teraz spostrzegłem pod ścianą samą gospodynię. Płakała, odwrócona do mnie plecami. Ramiona jej drgały.

Byłem już blisko drzwi mego pokoju. Wtem usłyszałem cichy, błagalny, trwożny głos garbuska:

— Czyż nie mógł pan grzecznie odpowiedzieć? Zakaszlać? Kaszlem dać znać? Moja żona...

— Milcz! — krzyknął syn.

Wchodząc we drzwi, odpowiedziałem, z zaniem w głosie, ale jeszcze mściwie:

— Przepraszam — ale — ale — nie wiedziałem, że stamtąd można mówić.

I zamknąłem drzwi.

Usłyszałem jeszcze, jak garbus mówił do swej żony:

— Chodź już — chodź — nie płacz.

— Niech ojciec lepiej idzie do swego pokoju! — mruknął syn. —

Trzeba było temu — nawymyślać!

A głos matki syknął wściekle:

— Ty, głupi potworze!

TADEUSZ GŁADYCH

Białe noce zawisły nad Zakopanem, śnieżne i księżycowe. Biały lub zielony płynął krągły księżyc przez szesane wiatrem niebo i zatrzymywał się nad cienkimi i czarnymi, jak włosy czarownic, różgami wierzb. Góry występowały w przezroczystym, mroźnym powietrzu z fosforyczną wyrazistością, ostre i wypukłe. Wiktorja, ze swego balkonu, widziała każdy mięsień, napięty na męczeńsko w tył odrzuconej głowie Giewontu, każde żebro jego szerokiej, męskiej piersi. Zwały, nastrzępione bloki dalekich skał, wyglądały jak spiętrzone, skamieniałe oceany, mające runąć na świat. Jak wygasłe kratery księżycy dymiły i zasnuwały się mgłą i prężyły śliskie, twarde grzbiety w zielonym lub fioletowym świetle. Śnieg skrzył się. Dalekie lawiny osuwały się z hukiem: ryk gniewnych gór.

Wierzchołki, jak paszcze lub nosy zwierząt, przełęcz i łańcuchy, jak grzbiety, przeginały się i dygotały i pełzały ku księżycowi i jęczały w tęsknocie, żądzy, grozie. Te same potwory, smoki, zwierzęta przedpotopowe widziała kiedyś Wiktorja w morzu, w przewalających się cielskach fal. Ten sam ogrom, groza, ospałość i okrucieństwo. Te same tęskne przegiby, te same tryskające krzykiem żądzy paszcze.

Na niebie wiły się skorpionowe ogony obłoków, pękate chmury biegly na siebie, groziły sobie pazurzastymi łapami, gonily za skaczącym, lubym księżycem i połykały go. Lecz on wędrował prędko poprzez ich przewody pokarmowe i wychodził jeszcze bardziej krągły i niedościgły, niż przedtem.

Cała przyroda pełna była nagich, szalonych bestyj. — Psy zawyły. Zerwał się wiatr. Drzewa wyciągały ramiona, chciały oplątać księżyc swymi czarodziejskimi włosami i ściągnąć go na ziemię. Lecz on uchodził górą, obłokom, drzewom, psom i morzom, wywabiał ludzi śpiących na rynny, fale łudził przyływem i odpływem, szczury wyprowadzał z miast i płynął dalej, gładki, straszny, niepojęty, świecący nieswoim blaskiem, budzący tęsknoty, żądzę, cierpienia, ruch i czarodziejstwa.

Po dniach smutku, gniewu i nieporozumień zalopotały nad kochankami te białe noce, jak chusta pokoju. Chodzili na nocne i wieczorne wycieczki. Cienie ich, długie i fioletowe biegly za nimi. Członki wydawały się cieńsze i dłuższe, ruchy ostre i lekkie, jak lot ptaków, głowy były małe w czarodziejskiej poświacie, rysy dziwnie zmienione, czyste i wyraźne. Jeśli zostawili w domu śpiące dziecko, nie odchodzili daleko. Nieraz towarzyszył im pies. Siadali we dwoje na sankach, na szczycie zbocza, psa trzymali na rzemieniu. Wiktorja wołała: wio! Hamlet ruszał w szaleńczych podskokach. Sanki rozpędzały się, sunęły jak nóż po tafli śniegu. Przeskakiwali przez kamienie, kopce i garby miedz, w straceńczym pędzie. Wiktorja krzyczała dziko i przenikliwie, nie wiedząc o tem. Wiatr porywał z pod nóg i unosił obok bryły śniegu, gałązki, domy i pola. Makary trzymał ją wpół. Gdy zatrzymywali się wreszcie, nie wypuszczał jej. Dotykał gorącemi, suchemi palcami jej oczu i policzków z lodu, jej gorącej szyi pod kolorowym szalem.

— Moja dzika, moja szalona kochanko — szeptał. — Chodźmy już do domu, chodź. — Jak ty krzyczysz, jak ty wrzeszczysz, warjato słodka, kozo górską, wilczyco czerwona — pożądam cię, pożądam cię, Wiko, bądź moja, Wiko, Wiko, bądź moja.

Śmiała się i wyrywała się, a potem obejmowała go, mocno przywierali do siebie, czuli poprzez wełnę i płótno ubrań swe gorące, prężące się, sztywniejące od żądzy ciała.

Nieraz Hamlet wywracał ich. Zanim wstali, ogarniało ich szaleństwo, tam, w śniegu. Brał ją pod siebie, wijącą się i wołającą: nie, szczęśliwą, zdyszana, rozpędzoną, i obejmował ją ramionami i nogami, i gniótł ją pod sobą, smukłą, wiotką, silną — jak zwierzę, gwałcące swą samicę.

Tam, daleko, jak jedna gwiazda w krociu innych, migotało światło w ich oknie. Płonęło wysoko nad nimi, słabe, spokojne, dalekie od świata, nie znające wichrów ni miotań, jak przemieniony w ogień, w czuwającą nad nimi źrenicę, oddech ich przypadkiem zrodzonego syna. Biegli na szczyt. Wiktorja zawsze była pierwsza. Jak smukła i okrutna Diana stała na tle nieba. Poza nią, niżej, widać było dachy domów. Wyglądało to, jakby stała na dachu jednego z nich. Nad jej ramieniem świecił zielony księżyc. Rozwiane włosy, jak czerwone skrzydła, w górę porywały jej brwi i oczy. Hamlet szarpał się, skakał, chciał biec do Makara. Wiktorja trzymała go mocno na rzemieniu. Przechylała się z wysiłku w tył, jak za-

wodnik, wiodący kwadrygę, jej szeroka suknia rozwiewała się, smukłe, długie nogi zarywały się w śnieg.

— Hamlet! leżeć! leżeć! — krzyczała.

— Piękna! — wołał z dołu Makar. Siadała na sankach. Hamlet wpadał w szal. Makary go wołał. Frunęli. Raptem sanki podskakiwały na kamieniu, wylatywały o metr w górę. Tam daleko biegl, skomląc, Hamlet, tu leżała Wiktorja, blada i potluczona.

Przybiegał do niej. Musiał brać ją na ręce i nieść do domu,

— Zawsze tak z tobą — gderał. — Cała zabawa! Czyż nie możesz uważać? Czyż koniecznie musisz tak pędzić?

— A ty? A ty? — broniła się. Śmieli się.

— Jesteśmy siebie warci. Chociaż i to nie. Jesteś jeszcze gorszy ode mnie. Ach, chociażby wtedy, na nartach? W taką pogodę!... A z tym złodziejem!

Długo w noc opowiadała mu coś ze swego dzieciństwa. Sankownie w Agrykoli, łobuzy, z którymi się ścigała, ojciec, gubiący melonik, Monika, której wybiła zęby.

A Makary opowiadał jej o wyprawach na jabłka, i o wyprawach po węgiel, i o różnych bójkach przy podziale łupów, i o tem, jak był dumny, gdy dostał pierwszy raz nożem pod zebro.

— Moje życie było jedną przygodą, straszną i ciemną.

— W mojem — odpowiada Wiktorja — było ich tylko kilka, ale jakich! Gdy dorwałam się do wolności — Boże!

Nieraz pozostawali w domu. Patrzyli w ogień, grzejąc ręce. Za sobą mieli oddech dziecka i psa. Przed nimi płonęły drzewa i ciała, całe światy obracały się w tryskające fontanny ognia, w żar.

— Smutno mi — rzekł Makar. Obejmowała go i całowała raz po raz, wilgotnymi ustami, dziecinnie. Ogarniał ją jednym ramieniem, na czerwonych, gęstych włosach opierał brodę, dotykał nozdrzami delikatnego zapachu czystości — są przesycone powietrzem gór — mówił.

— Za kilka miesięcy wrócimy do Warszawy, Wiko. — Zobaczysz, jaki tam będę. Zobaczysz! Tu — odnajdywałem siebie. Gdy pojedę tam... — Jeszcze nic nie wiem. Ale zobaczysz, zobaczysz! wierzysz?!

Pochylał się, unosił w górę jej ściemniałą, schłostaną mrozem, wiatrem i słońcem twarz, obciążoną gładko twardą i zdrową skórą, zaglądał w oczy: — wierzysz?

Jego szerokie, aksamitne, lśniące źrenice, jak zawsze wieczorem lub w chwili podniecenia, zamieniały mokro - błękitne oko w czarne jak noc.

— Wierzę — uspakajała go, jak zwykle. — No i co? Co będziesz robił?

— Będę aktorem filmowym, zobaczysz, ile rzeczy jest we mnie dziwnych i pięknych, o których nie masz pojęcia. Mój charakter — Wasserman gdzieś powiedział o kimś, że charakter jego był płynny, zmienny, że, poprostu — wcale nie miał charakteru. Tak jest ze mną.

— Mylisz się, jeśli charakterem jest reagowanie w stały sposób na podniety zewnętrzne, jest on w tobie całkowicie ustalony. I nie da się zmienić — niestety...

— Dlatego, że podniety są wciąż te same. Gdy przyjdą inne... Zresztą, nie możesz tego zrozumieć. Mimo całej swej niezwykłości, jesteś prosta, niezłożona i jednolita. Nigdy nie pojmiesz człowieka takiego, jak ja. Twój talent polega na głębi i sile uczuć, nie na precyzyjności aparatu odczuwania.

— Paweł uważał mnie za bardzo zagmatwaną.

— Ach, Paweł, ten wół!

— Jak możesz — szepcze Wiktorja i pochyla głowę.

— Przepraszam cię, przepraszam. Ach, jak ja tęsknię za Warszawą, za miastem, za ruchem i hałasem. Chodniki lśniące... Zgubić się w tłumie.

— Ty przecież nie chcesz zgubić się w tłumie?

On wzrusza ramionami, opiera czoło o ścianę, zamyka oczy. Wiktorja kładzie się na łóżku. Usypiając już, obserwuje kochanka. Widzi oświetlony rudym blaskiem ciemny profil, jarzący się lok na wypukłym czole, jedno duże, ciężkie oko w szerokim cieniu oczodołu, wargi złożone w wyraz nieukozonej tęsknoty.

Chce wstać jeszcze i dotknąć chłodnym palcem jego płonących oczu, jego suchej i gorącej, rozwartej bezsilnie i zwieszanej dłoni. Ale nie ma już siły. Zasypia.

*

Mróż stawał się coraz większy. Niebo przemieniało się w fioletowy płomień zimna, gwiazdy parzyły jak iskry. Co rano znajdowało się na drodze zmarznięte wróble i sikorki, które napróżno próbowała wskrziesić w cieple Wiktorja z Samem.

Górale mówili: ho, ho! Takiej zimy dawno nie było. Jeśli to dłużej pociągnie...

Sam znów na nogę był chory, znów gorączkował wieczorem. Siedział na łóżku opatulony kocami. Pochylał się nad zmarzłym ptactwem. Rozgarniał delikatnie puch. Dotykał z lękiem sztywnych łapek, a potem podnosił na rodziców swe zbyt wielkie, ciężkie, pełne wyrzutu oczy. I rodzice wstydzili się, że nie mogą przywrócić życia ptakom.

Gdy Sam zasnął, postanowili pójść, mimo zimna, na sanki.

— Ale włóż kozuch — rzekł Makar.

— Jeśli ty włożysz burkę.

— Więc wcale nie idziemy. Wiesz, że mnie jest zawsze za gorąco.

— Możemy zostać — odrzekła Wiktorja.

Rzucił jej wściekle spojrzenie. Potem zdarł z siebie marynarkę, spodnie, buty i leżał na łóżku: do diabła! ryczał — cholera! Wróć z pracy, ganiem, jak pies, dla niej, dla żony kochanej, chcę się trochę zabawić, rozerwać — to ona — fochy stroi!

Wzbiera w nich dawny gniew. Już nie chcą się rozumieć. Jeden uśmiech, jedno słowo mogłoby wszystko obrócić na dobre. Lecz Wiktorja czuje się pokrzywdzoną. Ona też marzyła o sankach. Też pracowała przecież cały dzień. I tęskniła za Makarym.

A on — ledwie przyszedł...

Opuszcza Wiktorja głowę i lzy zasłaniają jej oczy, wie, że jeśliby pocałowała go teraz, porwałby ją w objęcia i przeproszał za swą gwałtowność. Lecz ona dość ma jego przeprosin, jego gwałtowności, jego niedotrzymanych przyrzeczeń. On zaś wie, że nie ma słuszności, że Wiktorja z troski o niego, kazała mu włożyć burkę. Kiedyindziej roztkliwiłoby go to. Ale nie dziś. Dzieje się coś złego i czarnego, jakby poza nimi. Zbliża się. A oni brną ku sobie pomacku, przez noc, aby się zewrzeć w bezsensownym wybuchu nienawiści.

Makary przyskakuje do Wiktorji, szarpie ją, twarz jego jest skurczona wściekłością. — Przestań! Już znowu beczysz? Czego? Czego, do cholery? Chodź spać lepiej.

Wiktorja gestem męczenniczki podnosi ku niemu bladą, załaną łzami twarz, o zamkniętych oczach. Wie, że niczem tak nie rozdrażni Makara, jak ukazaniem mu całej jego podłości i okrucieństwa względem niej, bezsilnej, złamanej, płaczącej bez słowa. Odpycha go. W ruchu jej rąk jest bezbrzeżne znużenie i smutek. Tego ma

dość Makary. Czyż on jest winien jej znuczeniu? Cóż on jej zrobił, do licha? Kiedy porzuci swe komedje, któremi chce go upokorzyć, ugiąć, zmusić do przyznania się do winy? Ta obłudnica, ta prowokatorka! Nie, dzisiaj to już napewno nie on jest winien. Czyż Wiktorja nie wie, jaki on jest nerwowy i gwałtowny, czyż nie mówiła nieraz, że jest to wynikiem jego ciężkiego, smutnego życia, nędzy, chorób, upokorzeń? Czy więc nie może mu ustąpić choć raz? Ale nie — ona zawsze musi na swoim postawić. Makary czuje się coraz bardziej pokrzywdzony. Dziś ona musi przyjść do niego i przeprosić go. Dziś ona jest winna. I oto, już go boli serce. Ach, ten ostry, szarpiący ból. Jego biedne, rozszerzone serce. — Któż o niem myśli? Kogóż to obchodzi? Ją? Ją może?!

Makary wybiega na balkon, na fioletowy mróz, w koszuli, i kładzie się na obitej blachą podłodze. Pod płuca podłożył ramię. Czekaj jej kroków. Czy prędko przyjdzie? A może wcale? Może pozwoli leżeć mu tu, na mrozie, aż się zaziębi na śmierć? Czuje już przenikliwy ból w piersi, w gardle, w nogach...

Czy ma zostać? Czy czekać tu na zapalenie płuc? Jeszcze jedno zapalenie płuc, to pewna śmierć dla niego. A więc dobrze, niech będzie śmierć. Przez nią. Przez tę podł. I Makary podnosi ramię, przywiera piersią do lodowatej blachy.

Wtem kroki. — Chodź tu — mówi ona. Ile pogardy i zniechęcenia w jej głosie. Ani odrobiny miłości. Ani gniewu nawet. Jakby mówiła do warjata, lub głupiego, upartego zwierzęcia. Podł, podł. I to jest żona, przyjaciel, matka, człowiek jedyny. — O, jak bardzo boli go serce. O, jak straszliwie jest on samotny i poniżony. Czy nie powie już nic? Czy odejdzie teraz? Czy też powtórzy raz jeszcze swoje podł: — chodź tu. — O, pochyła się nad nim. Jeśli go pocałuje teraz — jeśli go muśnie swemi wilgotnemi, ciepłemu usteczkami — już nigdy, już nigdy więcej, przysięga to sobie, jeśli mu ten ostatni raz przebaczy.

Słyszy jej oddech nad sobą, słyszy jak przykłęka i opiera się ręką o podłogę — blacha wydaje ostry szelest — Wiktorja zagląda mu pewnie w twarz. Czuje jej spojrzenie. Może myśli, że dostał ataku sercowego? To dobrze, że leżał tak bez ruchu. — Może teraz upadnie na niego i pocnie całować go i wołać. — On wówczas... Wiktorja ujmuje jego rękę i szarpie ją: — Chodź! Zaziębisz się. Poco? Przecież ja nie mam siły. Podnieś się, połóż się w mieszkaniu, jeśli już chcesz koniecznie.

Tak więc. Z tem do niego przyszła. Do swego chorego, skrzywdzonego męża. Z drwiną i z pogardą, nawet bez nienawiści, nawet bez litości. Ty podła, podła — warczy Makar, zrywa się, nie puszcza jej ręki, miażdży ją w swojej, wpija się paznokciami w małą, wąską, tylekroć całowaną dłoń.

Wiktorja nie wrywa się. Patrzy mu prosto w oczy, zaciska wargi, by nie wydały okrzyku bólu. — Uśmiecha się z niewypowiedzianą pogardą.

Hamlet obudził się. Patrzy na nich. Sam też się obudził. Dziecko i pies patrzą na nich uważnie, z lękiem. Makary widzi, jak jeży się szerść na grzbiecie psa. I on przeciw niemu. I Sam. Wszyscy przeciw niemu...

— Aaaa! — ryczy Makar — aaa! — i rwie na sobie koszulę, obu rękami, podłuznie, od ramion do pasa, z twarzą siną i wykrzywioną, jak w obłąkaniu, kłapiąc zębami — aaa! — Potem ciska szmaty na ziemię i rzuca się na łóżko. Jest ciemno. Księżyc na chwilę dał się pożreć chmurze. Wiktorja chustką ściera krew z ręki. Siada na ziemi, pod ścianą, w osłupieniu. Podchodzi Hamlet do niej, dotyka zimnym nosem jej skroni. Wiktorja obejmuje go jednym ramieniem, wtula twarz w wierny, ciepły, zakurzony kark.

Ile czasu minęło? Czemuż siedzi na ziemi? Czy spała? Czy postanowiła coś? Czy się coś stało? Wstaje Wiktorja, słucha w ciszy, zapala światło. Makary leży wciąż jeszcze na łóżku, twarzą do poduszki, z rozrzuconymi w obie strony rękami i nogami. Przeszła obok niego. Pies i dziecko patrzyli na nią wyczekująco. Wzięła papiery z półki, mydło, ręcznik i włożyła do swej małej walizki. Samowi podała palto. Hamletowi nałożyła obrożę. Patrzyła na nich uważnie i surowo, nie dając żadnych znaków. A oni zrozumieli ją i zesзли po skrzypiących schodach w milczeniu i ukradkiem. Noc była tak samo jasna, jak przed godziną, gdy całowała go. — Księżyc świeci, jak wówczas, gdy po raz pierwszy oddała się Makaremu w Mlocinach. Góry pochylały nad trójką surowe profile, zdawały się gonić wzrokiem za idącymi, jak to czynią twarze na portretach.

— Mamo, czyś nie zapomniała powieści? — spytał Sam. Potrząsnęła głową, ściskając mocniej małą, suchą rękę. Wielkie oczy były poważne i zalęknione.

— Znów masz gorączkę, Sam?

— To nic. Wcale jej nie czuję. A noga boli mnie tylko trochę. Czy idziesz na dworzec? Czy wyjedziemy stąd?

— Tak — odrzekła. Lecz dokąd i jak? Skaleczona ręka piekła ją. Czuli się Wiktorja bardzo zmęczona. Miała przy sobie tylko ostatnie swe honorarium za „Szklanę mleka“.

O, jak bardzo była zmęczona, jak dobrze byłoby położyć się w ciepłym, ciemnym pokoju, zapomnieć o dziecku, o psie, o Makarze, o przyszłości, o przeszłości, i zasnąć na chwilę. Lub tylko zamknąć oczy i przestać myśleć. Przypomniał się jej skraw rzeki, szum mokrych olch i cień człowieka, i te słowa: tęskniąca duszyczko. A potem ujrzała różowe, puszyste kwiaty kamelji, rozsuwane przez kobiecą dłoń, i pochyloną twarz. — Deszcz, chłód, beznadziejność i pochylona w kręgu lampy twarz.

O, czemu Hannie nie wyznałam wtedy wszystkiego.

Czemu nie uczyniłam z niej swej przyjaciółki. Pojechałabym teraz do niej, posiedziała w ciemnym, dusznym pokoju, pomilczała, zakryła dłońmi twarz, zamknęła oczy.

A ona nie dziwiłaby się.

A możebym powiedziała jej o Makarym...

Teraz Hanna jest w Meranie. I napisać do niej nawet nie mogę. Zdradził dla mnie Hannę, jak ja dla niego Pawła zdradziłam. I wszyscy cierpimy — zdradzeni i zdradzający.

Zimno i jasno wiedziała znów wszystko, o Pawle, o Makarym, o ich miłości. Drżała z zimna i smutku. Gniew jej na Makarego znikł już, lecz nie ustąpił, jak zwykle, litości. Bez rozpaczki myślała, że może się zabije, może oszaleje, gdy jej nie znajdzie po przebudzeniu.

Byle nie przebudził się za prędko i nie dogonił jej. Wiedziała, że już nigdy nie wróci do tamtego człowieka, nieprzytomnego z nienawiści i egoizmu, którego zostawiła w swej przeszłości, powalonego chorym snem. Nieszczęśliwy był, chory, — tak. Staczał się. Podtrzymywała go, pragnęła uratować go dla tego, co było w nim piękne, dla jego smutku, samotności i niepokoju. Kochała go. Kochała go może teraz jeszcze. Lecz sama nie chciała się staczać, nie chciała umierać. W każdym razie — nie „tak“ umierać, w poniżeniu, bez potrzeby, bez sensu.

Ukladała plany. Że zamieszka z Anielą. Że może dostanie się gdziekolwiek, do pisma, na recenzentkę kin, książek. Że powieść napisze. Oby tylko Sam nie był chory, oby tylko nie potrzebowała prosić o pomoc.

Czuli się wolna, silna i samotna, jak wówczas, zanim poznała Makarego. Czy naprawdę talentem było to, co płonęło w niej?

Czy nie ludziła się? Czy nie była śmieszna? I znów przywodziła ku sobie w zwątpieniu tych wszystkich, którzy wierzyli w nią.

Nagle przypomniała coś sobie. Twarz jej oblała się ciepłą krwią. Dotknęła ręką walizki i poprzez skórę oddał jej dotknięcie biały papier: szorstka dłoń nieznanego przyjaciela.

„Pani, której utwory koją ból silnych i nieszczęśliwych“.

Miała adres, choć nie miała nazwiska ani imienia. Gdybyż to nie był mężczyzna, gdybyż to była smutna, chora może, niekoniecznie mądra kobieta, pełna wyrozumiałości i dobroci.

Gdybyż można przesiedzieć z nią wieczór w milczeniu, w kręgu lampy.

Teraz nie czuła już mrozu. Nie odstępowało jej słodkie, żywe ciepło. Pełno go miała w stopach, sercu i palcach.

Pogłaskała psa, ścisnęła mocno rękę dziecka: — Czy ci nie zimno, Sam? A noga? Czyś nie bardzo śpiący? Jedziemy do kogoś bardzo dobrego. Na godzinkę — a potem, zobaczysz, jak nam będzie dobrze.

Nie słyszał jej. Twarz mu kurczyła się w chłodzie. Tak, było mu zimno. I noga była taka spuchnięta, bolała bardzo. I gdzież ty nas prowadzisz, Wiktorjo?

Oby tylko Makary się nie obudził, oby nie przyszedł tu. Nie przyszedł. Pojechali. Nad ranem byli na miejscu. Wiktorja ścisnęła w rękę list. Adres był. Tak. Lecz imię, lecz nazwisko?

Zapytała się o drogę. Wskazano jej dom. Biały, senny w oparach poranka. Sam, nawpół przez sen, pytał: — gdzie się podziały góry?

— Zostały daleko. — Czy wrócą do nich kiedy? — Jeśli Sam zechce, to wróci. — Czy zostały tam, razem z ojcem? Czy ojciec będzie już tam zawsze leżał razem z Panem Giewontem?

Mały domek podmiejski, w oknach były firanki. Nic więcej nie mogła dostrzec Wiktorja. Co było za firankami? Jaki człowiek. Jakie serce? Czy naprawdę przyjaciel?

W podobnym domu, za miastem, mieszkała nauczycielka Wiktorji, którą, jako dziecko, bardzo kochała. Potem nauczycielka wyszła zamąż i raz, gdy przybiegła do niej Wika, otworzyła jej jakąś obca kobieta, nowa lokatorka.

„Pani Marja wyjechała z mężem. Dokąd? Nie wiem“.

Ile bólu było wtedy, ile cierpień, tęsknoty i zawodu.

Otworzyła jej natychmiast, jakby stała tuż za drzwiami i czekała na nią, tęga, ospała 40-letnia kobieta. Wiktorja zawahała się.

Taką więc była? A może to nie ona.

— Jestem Wiktorja... — zaczęła, Czy to pani pisała do mnie dwa lata temu?

— Pani się omyliła, — odrzekła uprzejmie kobieta. Pewnie wyżej. Nie znam pani.

— Więc pani — więc to nie pani. Ależ to przecież tu, dom Karpiela Nr. 15, I piętro?

Grubaska klasnęła w dłonie. — Już wiem! — zawołała. — Pani znajomi wyjechali stąd do Meranu. Ja odnajęłam mieszkanie, jak stało, ze wszystkim. — Drzwi do pokoju były otwarte, grubaska wskazała za siebie ręką.

— Do Meranu — powtórzyła Wiktorja. Ujrzała miękie, ciche, ciemnawe wnętrze, i wiele w niem kwitnących roślin.

— Znajomi — myślała, — któż więc? Czyżby małżeństwo? A może dwaj mężczyźni? Może Hanneę spotkają? I może ją jeden z nich pokocha — ten właśnie, który pisał do mnie. — Może szczęśliwa miłość wyleczy Hanneę, jak zabiła ją miłość zdradzona... Hanna, Hanna, gdybyż wiedziała, że to ja odebrałam jej kochanka, że przeze mnie umiera...

Nagle zatrzymała się, pomyślała o kwiatach w pokoju Hanny, które kiedyś spowodowały jej omdlenie. Coś niewytłumaczonego pchnęło ją z powrotem. Grubaska nie spodziewała się jej. Stała przechylona przez poręcz i patrzyła za nią. Napewno mieszkali tu dwaj młodzi mężczyźni, i grubaska uklada sobie teraz, co opowie sąsiadkom o kobiecie z dzieckiem. Gdy ujrzała Wiktorję, zarumieniła się na swej wielkiej twarzy, a usta jej uśmiechnęły się zachęcająco.

— Czy może chce pani spocząć? Czy może mogę służyć jakąś informacją?

— Właśnie — jak się nazywał ten pan, który wyjechał do Meranu?

— Pan? — wykrzyknęła grubaska. — Pan? To widocznie omyłka! Czy pani z ogłoszenia? Wpierw pytała pani o panią, czy nie? Tak mi się zdawało, a teraz...

— Więc to była pani? — zawołała bez tchu Wiktorja.

Przez uchylone drzwi widziała ciemny pokój, miękką faldę firanek, puszyste, różowe kamelje i grube, jak ulepione ze śniegu kulki hiacenty.

— Więc to była pani?! Jak się nazywała?

— Pani. A jakże. Z chłopczykiem. Nawet nie wiem, czy to jej syn — z jedenaście lat chłopczyk. Bardzo chora była.

Grubaska wołała coś jeszcze, ale Wiktorja była już na dole.

Więc naprawdę była to Hanna. I siostrzeniec Makara, Adam. Hanna, której ona zabrała kochanka, pisała do niej: „Pani książki koją ból nieszczęśliwych“. I o list Hanny był tak zazdrosny Makary. Gdyby nie ten list, może nie potrzebowałyby odchodzić od Makara, może nie doszłoby do tego między nimi.

Zemściła się Hanna na swej rywalce. A teraz ona do Hanny, o której myśleć nie śmiała, przyszła, aby odpocząć po cierpieniu życia z Makarym.

Więc jeszcze to — dramat napiszesz? — rzekł Makar. — Dla ciebie sława tam, gdzie dla nas nic, prócz nocy.

Jakież to dziwne i piękne, jakież to wielkie — myśli Wiktorja. Oni widzieli tylko swe lzy i swe serca rozdarte. Paweł, Hanna, Makar, Karolina — a ja? Lecz czyż mniej cierpiałam od nich?

Wracali ku stacji. Chciała jechać do Krakowa, lub Poznania, nie do Warszawy, gdzie są rodzice i znajomi. A może tu zostać? Może tu znajdzie jakąś pracę? Byłe tylko Sam nie zachorował. Byłe nie wpaść w dawne błędy, nie dać się spętać na nowo.

Hanna rozmawiała ze mną, nie wiedząc, z kim rozmawia. Czy lubiła mnie? Czy uważała mnie za inteligentną, dobrą lub nieprzeciętną? I jaką była sama? Pociągała mnie jej astrologja i jej kwiaty. Nigdy nie myślałam o niej samej. Teraz myśleć o tem jest za późno.

Za co pokochałaś Makara, Hanno? Czy przebaczyłybyś mi? Za co my obie kochałyśmy Makara, skoro jesteśmy tak nic do siebie nie podobne?

Czy bardzo kochała byś mnie, gdybyś wiedziała, że to ja właśnie, ta rudowłosa urzędniczka, z którą się wymieniało słowa o mroku, pisze rzeczy, które „koją ból nieszczęśliwych“?

Czybyś bardzo mnie zniechęciła, gdybyś się dowiedziała, że zabrałam ci kochanka, że podarowałam ci śmierć?

Teraz już na te myśli za późno. Umrzesz cicho w swym Meranie, Hanno, i nie dowiesz się, jak dziwnie splątał nasze drogi los.

Jakież to dziwne i wielkie, jakież to piękna.

W przeznaczenie wierzyła Anka. Roman w konieczność, Karola w przypadek. Linje życia przecinały się i gmatwały, ludzie spoty-

kali się i rozchodzili, los rzucał nimi, parło ich przeznaczenie tu i tam, konieczność, jak wichur międzyplanetarny, obracała wiatrak wszechświata, przypadek, jak błyskawica, łączył dalekie chmury.

— Dokąd idziemy? — spytał Sam.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA.

(Nowy przekład „Don Kichota“ dokonany przez p. Edwarda Boyé został poprzedzony obszerną przedmową tłumacza. Drukujemy tutaj jej fragment niniejszy. Red.).

Obraz dziejów „Don Kichota“ na półwyspie iberyjskim nie byłby zupełny, gdybyśmy milczeniem pominęli studjum Don Manuel Garcia z r. 1867, książkę Ramona Antequera: Juicio analítico del Quijote“, Jaccaci: „El camino de Don Quijote“, Luis Cerreras: „Ensayo sobre la vida y las obras de Cervantes“ oraz Azorina: „La ruta de Don Quijote“. Według dokumentów, zebranych pilnie przez Antequera i przedstawionych przezeń metryk, wynika, że prototypy bohaterów Don Kichota były osobami rzeczywistymi. Don Kichot to Don Rodrigo de Pacheco, Pan na Argomasilla, Dulcynea (anagram słów łacińskich: Dulcis-Ane) — donja Anna Martinez Zarco de Morales, córka Don Estabana, rektora uniwersytetu w Bolonji. Dama ta mieszkała w „casa de la Torrecilla“, pałacu Dulcynei, którego ruiny pokazuje się do dzisiaj turystom. Donję Annę z hidalgiem Argomasilla, Don Rodrigo de Pacheco łączyła miłość. Cervantes przeniósł ich żywcem do swego nieśmiertelnego dzieła, a chcąc zmylić ślady, przemienił wielką damę mocą zaczarowania w śmieszoną chłopkę, Aldonzę Lorenzo. Według innych przypuszczeń, Don Kichotem miał być niejaki Alonso Quijada de Salazar, który przeciwstawił się małżeństwu Cervantesa z Cataliną de Palacios Salazar y Vozmediano. Dla Sanczy znaleziono prototyp Luisa de Aliaga. To, że autor „Don Kichota“, pisząc swoje dzieło, czerpał wzory z otoczenia, jest rzeczą niewątpliwą, niewiadomo jednak kogo miał na myśli. Na początku książki Cervantes oznajmił, że jego bohater mieszkał w pewnej mieścinie (*lugar*) Manczy, której nazwy przypominać nie chce (*cuyo nombre no quiero acordarme*) Don Manuel Garcia wskazał pierwszy na Esquivias. Według niego Don Kichotem był Alonso Quijada, hidalgo-pijaczyna, zapalony miłośnik ksiąg rycerskich, pochodzący z Esquivias. Quijada był krewniakiem żony Cervantesa, donji Catalina. Robił co mógł, aby do małżeństwa swojej kuzynki nie dopuścić. Stąd złość i zemsta Cervantesa. Cervantes wraz z żoną mieszkał przez pewien czas w Esquivias, niedaleko ulicy zwanej Quijadas, od rodu Quijady. Carreras w cytowanym już dziele zauważa słusznie, że tym „lugar“ musi być raczej

Esquivias niż Argomasilla. Don Kichot, opuściwszy dom, wyjeżdża odrazu na równinę. Byłoby to niemożliwe, gdyby mieszkał w Argomasilla, oddalonej dość znacznie od Montielu. Esquivias leży coprawda w Kastylji, a nie w Manczy, ale zato Quijada pochodził z Valdepenas, czyli z prowincji Mancaza. Cervantes zataił nazwę Esquivias, a o imieniu bohatera swego powiedział, że pochodzi ono od Quisada, Quijada, lub Quejana. Niedawno znaleziono akt zejścia (z 1604 r.) niejakiego Quijada de Salazar, rodem z Esquivias.

Wywody Carreras i Don Manuela Garcia nie zgadzają się z hipotezami współczesnego pisarza hiszpańskiego, José Martinez Ruiz (Azorin), który w swej świetnej, pełnej humoru, a zarazem głębokiej melancholji książce, opisującej wędrówki współczesnego literata po stepach Manczy, pisze: „Opuściłem Argomasillę o ósmej rano; tą samą drogą wyjeżdżał Rycerz Posępnego Oblicza, zdążając na spotkanie swoich przeznaczeń. Płaszczyna jest ciągle tą samą płaszczyną: szarą i rozpaczliwie pustynną. Dom naszego pana Don Kichota, będący dziś oberżą, stał wśród pól. Zmęczony czytaniem rycerz przechadzał się pod drzewami z książką w ręku, zagłębiając się w swoje marzenia. Wiecie już, że Don Alonso Quijano był hidalgiem, Rodrygiem Pacheco. Jakże dziwne życia miał ten Pacheco! Jakież to burze przechodziły przez jego duszę! W kościele w Argomasilla wisi podarta tkanina, na której przy świetle świecy rozróżnić można twarz o szerokiem czole i zapadniętych, bolesnych oczach. Pan na Argomasilla złożył ją jako votum Dziewicy z prośbą, aby go uleczyła z zimna, które mu mózg zepsowało“.

Dojeżdżając do Criptana, spotyka Azorin grupę hidalgów, którzy przedstawiają mu się jako Sanczos Pansa. „Nie wiem, co mam myśleć? Dlaczego ci wszyscy panowie nazywają się Sanczos Pansa de Criptana? Zagadka wyjaśnia się wkrótce! W Criptana nie ma Don Kichotów! Argomasilla chęłpi się, że była ojczyzną Rycerza Posępnego Oblicza, Criptana reprezentuje praktyczny zmysł Sanczo Pansy... Później Toboso! „Przebiegacie ulice i zaułki, patrząc na walące się mury, na zrujnowane arkady i ślepe jamy okien. Gdzież się znajdował dom Dulcynei? Czy Dulcyneą była naprawdę ta Aldona Zarco de Morales, o której mówią kronikarze? Dom nieporównanej księżniczki stał na krańcu miasta, prawie na polu. Górne piętro zawaliło się. Na parterze mieści się dziś oliwiarnia. Puste beczki patrzą na was z wszystkich kątów podwórza; na beczkach leżą połupane, kamienne tarcze herbowe, które ongiś wisiały na fasadzie domu.

— Przyjacielu Sanczo, zaprowadź mnie do pałacu Pani Dulcynei, bardzo być może, że ją jeszcze przy czuwaniu zastaniemy — rzekł Don Kichot do swego giermka, dojeżdżając nocą do Toboso. — Do jakiego pałacu do kroćset mam wieść Waszą Miłość? — odparł Sanczo... dom, w którym widziałem panią Dulcyneę jest mały i nikczemny bardzo...

Tymczasem pałac rzekomej Dulcynei był obszerny i wielce wspaniały.

Dla ludzi z Ruidera, Criptana, Argomasilla, Toboso nie ma legendy, jest tylko rzeczywistość. Wszyscy ci Don Silverio, Don Vincente, Don Emilio, Don Jésus z zapadłych wiosek i miast Hiszpanji są poinformowani doskonale o najdrobniejszych szczegółach życia rzekomego Don Kichota z Manczy i rzekomej Dulcynei z Toboso. We wszystkich krajach świata autor Don Kichota nazywa się Don Miguel de Cervantes Saavedra, w Toboso poprostu Miguel. Wszyscy odnoszą się do niego z serdeczną poufałością i bezpośredniością. Ci „sui generis“ znawcy i „dalecy krewniacy“ wydali nieubłaganą walkę Akademikom, gdy Akademicy oznajmili, że Miguel Cervantes pochodził z Alcala a nie z Alcazar. Odtąd w duszach hidalgów manczańskich rósł gniew i rankor na Akademików, aż dzisiaj w całej Manczy zapanowała straszliwa do nich nienawiść. Akademicy dla obywateli z tamtych stron to pojęcie jakiejś ślepej złowrogiej potęgi, która zwała się na Manczę i zadała jej najboleśniejszy cios, przenosząc Don Kichota z Argomasilla do Esquivias, a Cervantesa z Alcazar do Alcala.

Uczuciowy i prosty stosunek prostaczków z Manczy do Don Kichota, mówi nam o ludzkim arcyłudzkiem więcej charakterze dzieła, niż sterty bibuły Don Kichotowi poświęcone.

*

* *

Dla współczesnych był Don Kichot tylko i jedynie satyrą na księgi rycerskie. Ich komentarze posuwały się najdalej do odgadywania czy nos Don Kichota był nosem Karola V, wydarzenie ze lwami nieudaną wyprawą Karola do Afryki, a atak na młyny dążeniem Karola do monarchji wszechświatowej. Na początkach ubiegłego wieku sądzono „Don Kichota“ według norm pseudoklasycznych;

chodziło o imaginację, fabułę i jej reguły, a prawdopodobieństwo i t. d. Ten punkt widzenia wydał się niewystarczający romantycznej krytyce cudzoziemskiej, która na gwałt zaczęła odkrywać w arcydziele Cervantesa głębie ogólnoludzkie, całą mistykę, metafizykę i klucze do wiedzy tajemnej. Uwielbienie a raczej bałwochwalstwo zapalonych cervantystów sprawiło, że dzieło Cervantesa, przestało być genialną powieścią, a stało się ewangelją, w której każde słowo urasta do granic olbrzymiego symbolu. Cervantes — to nie tylko pisarz, lecz prawnik, esteta, geograf, podróżnik, filozof, socjolog, przyrodnik, teoretyk erotyzmu, psychiatra, wreszcie prorok*). Posłuchajmy wyznań romantyków niemieckich: *Der edle Ritter von La Mancha ist der edle Repräsentant aller Phantasten, die, wie er mit dem herzlichen Enthusiasmus zu Narren werden, weil ihr sonst gesunder Verstand den Reizen der Selbsttäuschung nicht widerstehen kann, in der sie sich als erhabenere Wesen fühlen*“... a według słów Schellinga: *„Don Quixote ist mehr als ein geistvolles Buch, mehr als eine bedeutende Satire oder ein stylistischer Meisterwerk. Er ist ein Werk von tiefen philosophischen Gehalt denn er versinbilde nichts anderes, als den ewigen Streit des idealen gegen die Wirklichkeit, und gebe damit im kleinen ein Bild des gesamten Lebens*“.

Ta obłądna egzaltacja wywołała odruch obiektywnej analizy. „Bierzmy Cervantesa takim, jakim był — pisze Fitzmaurice-Kelly, czyli jako artystę lepszego w praktyce niż w teorii, większego przez swe zdolności wrodzone, niż przez zdolności nabyte. Jego charakter — to naturalność, stąd też płynie charakter ogólnoludzki i uniwersalny jego dzieła“. Menendez y Pelayo rozprawia się z twórcami nowinek:

„Daremnie im się mówi i kładzie do głów, że idee naukowe Cervantesa, jeżeli wogóle na to miano zasługują, nigdy nie przechodzą granic zdrowego rozumu i nie wznoszą się nad poziom ogólny kultury hiszpańskiej wieku XVI. Można to łatwo stwierdzić na podstawie książek wcześniejszych od „Don Kichota“, które o tych

*) Na estetę kreował Cervantesa Salvador Salas Garcido („Exposicion de las ideas esteticas de Cervantes“) na teoretyka erotyzmu — Cesar Moreno Garcia („Un nuevo respecto del Quijote“) na socjologa i prawodawcę — Salcedo Ruiz („Estado social que refleja el Quijote“) i El de Mainez „Cervantes y su tiempo“, na psychiatrę — Antonio Morejón i Emilio Pi y Molist („Bellezas de medicina practica“; „Don Quijote en el concepto medico — psicologico“). Cytuję tylko dzieła główniejsze!

samych rzeczach mówią z większą wnikliwością naukową i mniej chaotycznie“. (Ideas estéticas“).

Hispanista francuski, Morel-Fatio stwierdza:

Wystarczy otworzyć „Don Kichota“, na którejkolwiek stronie, aby przekonać się o słabości rozumowania, o źle wyrażonych i chaotycznych ideach. Nie róbnmy z Cervantesa geniusza uniwersalnego ani jakiejś istoty nadprzyrodzonej. Zamiast go odczłowieczać, starajmy się go zrozumieć jako znakomitego powieściopisarza i „honnete homme“ („Etudes sur l'Espagne“). „Nie widzimy w nim żadnej nowej myśli religijnej, czy etycznej, idzie za wiarą swoich przodków, szanuje panujący porządek i uznane prawdy: tron i ołtarz — mówi hispanista włoski Savj-Lopez („Cervantes“) „Daleki od tego, aby być *esprit fort* rewolucjonistą lub jasnowidzem, nie wybiega poza horyzonty swej epoki i zadawalnia się tem, że ją odzwierciadla“ — pisze Carreras Artau (*La filosofia del derecho en el Quijote*“). Jeden z najlepszych komentatorów „Don Kichota“, Rodriguez Marin snuje paralełę między Cervantesem a Kolumbem. Umierali obaj, nie zdając sobie zupełnie sprawy z znaczenia i wartości swych dzieł. Don Kichot jest tworem tak głębokim, że głębi jej nieprzeniknął nawet sam jego ojciec. A Dom Miguel de Unamuno, który z kichotyizmu tworzy filozofję narodową, lkając tam, gdzie inni się śmieją i dążąc niestrudzenie za panem naszym, Don Kichotem z Manczy, mówi, że Cervantes wyłonił Don Kichota na świat, ale że do niego nie dorósł. Aby Don Kichota rozumieć i skomentować, urodził się dopiero on, filozof z Salamanki, Don Miguel de Unamuno. Zasługę tego, że Don Kichot na świecie istnieje, przypisuje autor „Mgły“ samemu... Don Kichotowi. Cervantes był tu tylko potrzebnym pretekstem: „*No hemos de tener nosotros por el milagro mayor de Don Quijote el que hubiese hecho escribir la historia de su vida a un hombre que como Cervantes, mostró en sus demas trabajos la endebles de su ingenio?*“ („*Vida de Don Quijote y Sanczo*“). Stosunek Miguela de Unamuno do Don Kichota jest stosunkiem żywym, nie na analityczno - rozumowych, lecz na uczuciowych przesłankach opartym, a do tego samowładnym aktem twórczym, docierającym do samego rdzenia kichotyizmu. Czytelnikowi, któryby pragnął sformułować sąd własny na Cervantesa i jego nieszczęśliwego syna, radziłbym najpierw zapoznać się z tą cudowną książką, przestrzegając go jednak, aby jej nie brał dosłownie i aby w symbolicznie nie doszukiwał się naukowości. Źródłowe badania nad życiem i sztuką Cervantesa zaczęły się stosunkowo niedaw-

no. Pozatem większość tych ćwiczeń krytycznych na przestrzeni wieków jest raczej dźwiękiem pustych słów, niż blaskiem nowych idei. Dzieło Cervantesa stało się w pośmiertnej swojej wędrówce większym kameleonem, niż najciemniejszy poemat świata: „Boska Komedja“ Dantego, do której prowadzą dwa zasadnicze wykłady: teologiczno-moralny i polityczny. Tutaj wykładów (oczywiście naciąganych) jest tysiąc. Poznawszy choćby pobieżnie literaturę, poświęconą Don Kichotowi, dochodzi się do wniosku, że arcydzieło Cervantesa jest ziarnkiem piasku, zagubionem w odmęcie komentarzy, i sprzecznych sądów. Na Don Kichota patrzył każdy pod kątem swego światopoglądu i swej własnej koncepcji życia. Poeta niemiecki Wieland nazwał dzieło „świetnem lekarstwem na duchową gorączkę abstrakcji“, podczas gdy Rousseau pisał: „Trzeba tworzyć jak Cervantes, aby zmusić czytelnika do przeczytania sześciu tomów wizyj“. Laharpe oznajmił, że Don Kichot jako opis szczególnego rodzaju obłędu, jest niższy od dzieł, malujących uniwersalność natury ludzkiej, bez różnicy czasu i kraju. Schelling natomiast, że Cervantes mocą swego geniuszu przekształcił satyrę swoją na uniwersalny, malowniczy obraz życia. Dla Sainte-Beuve'a Don Kichot jest zwierciadłem pełnem życia ludzkiego, dla Montesquieu tylko satyrę literacką. „*Le seul livre espagnol qui soit bien, est celui qui a fait voir le ridicule de tous les autres*“.

Teofil Gautier wybrał Don Kichota narodowego. „Nie można postawić kroku w Hiszpanji, aby nie natknąć się na wspomnienie o nim, tak narodowem bowiem jest dzieło Cervantesa“. Humboldt mówi podobnie, że Sanczo Pansy nie zrozumie ten, kto nie widział nigdy objuczonego osła hiszpańskiego. Dla Montegut romans Cervantesa jest alegorją historyczną, przedstawiającą Hiszpanję XVII w. awanturczą i fanatyczną, która wreszcie padła do stóp marynarzy angielskich i holenderskich chłopów.

Zdaje się, że najbliżsi będziemy prawdy, gdy pójdziemy za zdaniem Heinego: „Pióro geniusza jest zawsze większe, niż sam geniusz. (Przedmowa do niemieckiego przekładu z 1837 r.) i Don Miguela de Unamuno: „Cervantes wyłonił Don Kichota na świat, ale do niego nie dorósł. Na podobnem stanowisku stanęła także nauka współczesna. „Don Kichot jest dziełem genialnem, a każde dzieło genialne sugeruje więcej, niż bezpośrednio mówi“ — pisze znakomity filolog hiszpański, Menéndez y Pelayo. „Cervantes może się chlępić, że stworzył swoje arcydzieło, sam nie wiedząc dlaczego i jak“ — mówi Schevill. „Czem był Cervantes w umyśle swego

twórcy, nikt nie zgadnie, lecz i nikt nie zdoła zaprzeczyć, że w zbiorowej duszy potomności urasta w olbrzymie, fantastyczne kształty“.

Niech zatem każdy z czytelników podchodzi do Don Kichota z którejkolwiek chce strony, niech się śmieje tam, gdzie inni płaczą, lub płacze tam, gdzie się inni śmieją. Don Kichot, wyprostowany na siodle swego Rossynanta, zagłębiany w swoje sny, patrzy od trzystu lat na świat, w którym widzi tylko odbicie samego siebie. Każdy zaś z nas jest w biegu życia swojego Don Kichotem, to znów Sanczo Pansą. Dlaczegoż w krytyce chcemy być tylko Sanczo Pansami?

Język estoński jest bratem języka fińskiego, który z drugiej strony jest blizkim krewnym języków fińskich, resztki których jeszcze istnieją na terytorjum Rosji, oraz języka węgierskiego.

Od wieku XII-go Estonia, prawie jednocześnie z Łotwą, została opanowana przez krzyżaków, którzy uważali ziemię i ludność za swoją zdobycz wojenną. To też narodowości estońskiej groziło poważne niebezpieczeństwo. Jednakże Estończycy nie ulegli wynarodowieniu, o czym świadczy zachowana do dziś dnia duża ilość pieśni, bajek i przysłów ludowych. Dr. Hurt zebrał i wydał do 40.500 takich pieśni w dwóch zbiorach: „Pieśni Sikutesów“ i „Stara Harfa“. Inne utwory poetyckie ludu estońskiego były zbierane i wydawane przez różnych działaczy naukowych i społecznych.

Literatura kościelna w języku estońskim datuje się od wieków XVII-go i XVIII-go, lecz dopiero na początku wieku XIX-go zjawił się pierwszy poeta estoński! Był nim R. J. Peterson (1801-1822), liryk-sentymentalista. Do tej samej epoki należą R. Fählmann (1798-1850), który drukował estońskie ludowe bajki mityczne (np. „Poranek“, „Szar godzina“, „Pieśń Vanemuine“), oraz R. Kreutzwald (1803-1882) autor eposu „Lembitu“ oraz opartego o pieśni ludowe poematu „Kolenipoeg“; ten poemat świadczy o głębokich węzłach braterstwa pomiędzy narodami estońskim i fińskim; przecież współczesny Kreutzwaldowi patriota-romantyk fiński Lönnrot wydał w tym czasie słynną swoją „Kalevalę“, treść której odpowiada najzupełniej treści „Kalevipoeg“ („Kalevala“ jest też zbiorem pieśni epickich ludowych).

Odrodzenie kultury narodowej estońskiej w połowie wieku XIX-go jest związane z powstaniem literatury estońskiej.

Otóż, J. W. Petersen (1819-1890) wydrukował parę opowiadań w stylu sentymentalnym; poetka Lydia Koidula (1843-1886) drukowała wiersze liryczne w stylu romantycznym oraz opowieści i dramaty. Ohok Koiduli stali poeci Fr. Kuhlberg, M. Veske, A. Reinwald.

Z najwybitniejszego z prozaików estońskich tej epoki uważano J. Põna (1843-1916), za najwybitniejszego autora dramatycznego uchodził J. Kundera (1852-1888). Ten ostatni pracował nad rozwojem kultury estońskiej i wystawiał swoje utwory na scenach ludowych.

Wśród dziennikarzy estońskich wieku XIX-go pierwsze miejsce zajmuje K. Herman (1851-1907). Ta epoka odrodzenia narodowego zmieniła się na reakcję. Warunki polityczne w końcu wieku XIX-go przyjęły taki obrót, że Łotwa zaczęła prosperować ekonomicznie i kulturalnie w uszczerbkiem dla Estonji. Ale Estończycy pracowali nieustannie nad dobrem narodu i kraju.

*) Materiały do niniejszego artykułu zostały mi dostarczone przez p. B. Lindego i innych literatów estońskich.

E. Bornh le (1862-1923) i A. Saal (ur. w r. 1861) pisywali romanse historyczne, J. Bergmann (1856-1916) i J. Tamm (1861-1907) zdobyli uznanie jako autorzy ballad romantycznych, poetka Anna Haava (ur. w r. 1846) i poeta K. Soot (ur. w r. 1862) w swojej tw rczości rozwijali technikę wiersza oraz popularyzowali ideologię romantyczną. Epoka sentymentalizmu i romantyzmu estońskiego był zakończona.

Na rubieży dwóch stuleci literatura estońska stała na przelomie. Ale ludność wiejska zaczęła uciekać do większych miast; powstał proletarijat i pod wpływem nowych warunków życia powstała nowa ideologia, raczej racjonalistyczna i realistyczna, niż romantyczna.

Juhan Liiv (1864 — 1913) jest uważany za pierwszego realistę estońskiego. Począwszy od jego pierwszych wierszy — wszystko w tw rczości tego prozaika. autora „Dziesięciu opowiadań“ i noweli „Cienie“, podpadło pod technikę realistyczną. Później Liiv został jaskrawym romantykiem. Współczesny mu August Kitzberg (ur. w r. 1855) na początku swojej działalności był autorem nowel historycznych, aby potem przejść do opowiadań o życiu estońskiej wsi. W r. 1906 Kitzberg wydał dramat psychologiczny „W wirze wichrów“, w r. 1912 — dramat „Wilkołak“, w którym zostało odzwierciedlone życie estońskie dawnych czasów, obyczaje ludowe i t. d.

Edward Wilde (ur. w r. 1865), autor romansów i komedji, jest pierwszym pisarzem estońskim dużej miary. W romansach „Do zimnej krainy“, „Wojna w „Mahtre“, „Prorok Maltsvet“ autor opowiada o społecznych nastrojach i położeniu włościan estońskich. Najwyższe mistrzostwo stylu osiągnął pisarz w romansie „Sprzedawca mleka z M ek la“ (1916), Dramatem „Niesosiągnięty cud“, oraz komedją „Pisub rd“ stworzył Wilde wzory literatury estońskiej dramatycznej i wskazał innym pisarzom nowe drogi rozwoju.

Typowym naturalistą był E. Peterson (ur. w r. 1868), autor opowiadań o życiu warstw kulturalnych wśród ludności wiejskiej. Nowela Petersona „Krzewiciel oświaty wśród ludu“ należy do najlepszych utworów literackich w języku estońskim. W porównaniu z utworami Petersona opowiadania realistyczne J. M ndmetsa (ur. w r. 1871) s  mniej charakterystyczne.

W r. 1905 powstał w Tartu (Dorpacie) pod wpływem symbolizmu francuskiego i belgijskiego nowy kierunek „Noor Eesti“ (Młoda Estonia“); pod tym hasłem zostało wydane 5 almanachów oraz przez pewien czas nazywało się pismo „Noor — Eesti“. Kierunek ten powinien być uważany za neoromantyczny. Wodzem ugrupowania był Gustaw Inits (ur. w r. 1883), obecnie profesor literatury powszechnej na Uniwersytecie w Tartu. Jednakże za poprzednika „Młodej Estonji“ należy uważać poetę lirycznego i mistyka Edwarda Enno (ur. w r. 1875), autora wierszy symbolistycznych „Szare pieśni“. Co się zaś tyczy Suitsa, był on znawcą poezji zachodnio-europejskiej, który w pierwszym zbiorze utworów lirycznych „Ogień życia“ (1905) wystąpił jako dojrzały poeta. Jednocześnie wprowadził Suits w obieg nastroje rewolucyjne i będąc uczestnikiem walk o wolność kraju, wyemigrował za granicę. Ot z „Młoda Estonja“ nie była kierunkiem wyłącznie literackim. Wszystko, co było postępowego wśród warstw kulturalnych kraju, przyl czyło się do literatów, m. in. działacze rewolucyjno-społeczni, którzy za naszych czasów zajmują wybitne stanowiska w życiu politycznym Estonji. Tak samo przyl czyli się do „Młodych Estończyków“ malarze Konrad M gi, Mikołaj Tr k, rzeźbiarz

Johannes Koort, muzyk (profesor Konserwatorium Berlińskiego) Rudolf Tobias i inni. G. Suits pozostawał wodzem tego ugrupowania w ciągu dziesięciu lat istnienia jego. Druga książka wierszy Suitsa „Kraina wiatrów“ (1913) przepelniona jest tęsknotą, lecz ostatnie zbiory poezji „Wszystko razem jest snem“ oraz „Dym ofiarny“ zawierają motywy optymistyczne; pierwsza z nich odzwierciedla nastroje społeczne oraz oddaje wrażenia z podróży autora podczas wojny światowej po Anglii, Skandynawji i Finlandji; druga zaś zawiera wiersze o miłości heroicznej. Suits jest jednocześnie cenionym krytykiem literackim oraz jako prezes Stowarzyszenia Literackiego przy Uniwersytecie w Tartu wywiera wpływ na rozwój współczesnej literatury estońskiej. W almanachach i miesięczniku „Młoda Estonja“ Suits prowadził dział literatur skandynawskich. Każdy z pisarzy estońskich tej epoki obrał sobie dział jednej z literatur obcych.

Współpracownik „Młodej Estonji“ poeta liryczny Villem Krüntal — Ridala (ur. w r. 1885) zajmował się literaturą włoską. Zbiory wierszy oryginalnych Krüntala pod tytułem „Pieśni“ oraz „Dalekie wybrzeża“ obfitują w obrazy natury. Obecnie Krüntal jest profesorem języka estońskiego na Uniwersytecie w Helsingi (Helsingforsie).

Tę samą katedrę na Uniwersytecie w Tartu objął po wojnie światowej Johann Aavik (ur. w r. 1887), który za czasów „Młodej Estonji“ referował w wydaniach tego ugrupowania literaturę francuską oraz nakreślił plan zreformowania języka literackiego z punktu widzenia ściśle naukowego. Przecięż poeci „Młodej Estonji“ doprowadzili wiersz estoński do wyższego stopnia doskonałości. Przez tę reformę oraz sui generis synkretyzującą sztukę literackiej i sztuk pięknych zbliżają się oni do „Młodej Polski“.

Z drugiej strony „Młodzi Estończycy“ żądali od rodaków, aby stali się europejczykami. To znaczy, że literatura estońska powinna była zachowywać ściśle kontakt z literaturami obcemi. Wpływy niemieckie na literaturę estońską są zrozumiałe. Wpływy literatury rosyjskiej zostały pogłębione rozwiązaniem łączności z literaturami słowiańskimi, przedewszystkiem — z polską. Tą sprawą zajął się krytyk literacki Bernhard Linde (ur. w r. 1884), autor szeregu nowel, zbioru artykułów krytycznych „Swoi i obcy“ (1924), książki „Droga ku Europie Centralnej“ (1930), w której kilkadziesiąt stron autor poświęcił Polsce, oraz wielu innych prac (m. in. redagował zbiór artykułów o Polsce p. t. „Poola“ 1930). Zresztą z języka polskiego tłumaczyli Suits (B. Prusa), Linde (Kadena-Bandrowskiego, Rejmonta) i inni.

Z prozaików „Młodej Estonji“ na pierwszym miejscu stoi Anton Hansen Tammsaare (ur. w r. 1878), autor zbioru nowel naturalistycznych p. t. „Starsi i młodzi“ — obrazków życia ludu estońskiego. Po tej pierwszej książce Tammsaare wydał „Długie kroki“, „Młode dusze“, „Cienie“ — zbiory nowel psychologicznych z życia młodzieży warstw kulturalnych. Były to pierwsze kroki ku analizie psychologicznej w literaturze estońskiej.

W r. 1920 wydał dramat biblijny p. t. „Judyta“. W ostatnich latach Tammsaare powrócił do realizmu (romans „Gospodarz z Körhoja“, nowele „Kazalek“). Ostatni utwór Tammsaare „Prawo i sprawiedliwość“ (1926 — 28) w dwóch tomach został przetłumaczony na języki fiński, lotewski, niemiecki, francuski.

Niemniej wybitnym prozaikiem o wysokich walorach stylisty jest Friedebert Tuglas (ur. w r. 1886), autor monografji z historii literatury estońskiej oraz szeregu artykułów krytycznych. Zbiór nowel Tuglasa p. t. „Po dwa“ oraz wiersze wskazują na wysoką kulturę estetyczną. Działalność literacką Tuglas rozpoczął w szeregach „Młodych estończyków“, przeszedł do symbolizmu i do realizmu. Ten elektyzm cechuje nowele Tuglasa p. t. „Łoś“, oraz romans „Feliks Ormusus“, Mit religijny powinien, według Tuglasa, służyć za podstawę życia i odzwierciedlenia go w literaturze. To też w utworach jego świat rzeczywistości łączy się ze światem mistyki, autor zaś jest oderwany od życia, na co wskazuje ostatnia jego książka „Wędrowka dusz“.

Estetyczne i literackie poglądy swoje formułował Tuglas niejednokrotnie. Ostatnio Tuglas jest redaktorem poważnego pisma literackiego w Tartu „Looming“ („Twórczość“). Obok tego miesięcznika ukazuje się w Tartu jeszcze inny — „Olion“ (pismo o literaturze i sztuce), którego redaktorem jest literat Gustaw Naelape; w „Olion“ bardzo często ukazują się artykuły o literaturze i sztuce polskiej, obficie ilustrowane.

Z „Młodą Estonją“ związany jest prozaik Anton Tassa (ur. w r. 1882). Nowele Tassy są pisane stylem archaicznym. Drugim prozaikiem mniejszej miary, niż Tuglas, jest Jaan Oks (1884 — 1917). Ten ostatni pisywał nowele romantyczne i realistyczne.

Omijamy szereg prozaików, mających mniejszą wartość literacką, jak M. Metsanurk, K. Rumor, O. Luts, A. Kivikas, R. Roht. Wszyscy oni należą do literatury estońskiej po wojnie światowej, raczej po r. 1917, kiedy „Młoda Estonja“ faktycznie przestała istnieć, nawet utraciła rację bytu.

Byli rewolucjoniści zostali klasykami, przeszli albo do historii literatury estońskiej, albo poszli w innym kierunku ku nowym celom, jak Tuglas. Rozpoczęło się nowe życie w odrodzonym kraju, kiedy poważne zdobycze „ojców“ nie mogą być należycie ocenione przez „dzieci“. Nowe życie swoim rozpędem zasłania najczęściej ogrom pracy poprzedniego pokolenia. Rezultaty tej pracy zdaje się, są minimalne, to też młodszy sądzą, że sama ta praca była lekka i niewyczerpująca. Łatwo było Reval ochrzcić Tallinnem, Dorpat zaś — Tartu. Lecz jest rzeczą nietatwą, aby młodszy literaci doszli do przekonania, że „Młoda Estonja“ utworzyła drogę dla rozwoju najnowszej literatury estońskiej.

Estonja jest takim samym krajem rolników, jak i Łotwa. Na pierwszy rzut oka oba kraje są braćmi rodzonymi, lecz charakter ludności jest inny. Dzięki temu literatura estońska, jako odzwierciedlenie tego charakteru, zawiera inne cechy, ma przed sobą inne cele, niż literatura łotewska. Ta ostatnia pozostaje związaną ze swoim ludem, ze swoją ziemią. Literaci estońscy, nie zważając na tematy z życia ludu, są usposobieni bardziej kosmopolitycznie, niż narodowo. Z tego powodu „Młoda Estonja“ otwierała szeroko drzwi na Zachód, na Wschód, na Południe. Literaci obrali za siedzibę stare miasto uniwersyteckie Tartu z tradycjami uniwersyteckimi. Tallin ze swoją piękną górą Zamkową, otoczoną starymi basztami i murami, miasto rycerzy, owiane tradycjami historycznymi, jest stolicą administracyjną i polityczną, portem morskim. Upośledzone miasto prowincjonalne Tartu rozwija się samodzielnie pod względem kulturalnym, nawiązując do starych tradycji uniwersyteckich, w gruncie rzeczy kosmopolitycznych. Jest to pewien odgłos średniowiecza o zabarwieniu romantycznym.

Stara kawiarnia literacka w Tartu niczem się nie odróżnia od knajp studenckich. Stowarzyszenie poetów i prozaików w Tartu jest podobne do korporacji studenckich. To też literatura jest więcej oderwana od kraju, niż na Łotwie, poeci marzą nie o wioskach lub miasteczkach rodzinnych, lecz o Rzymie, o Paryżu, o Warszawie.

Ten rozpęd życia kulturalnego idzie na dobre twórczości literackiej.

Gdy przestał istnieć kierunek „Młodej Estonji“, poeci i prozaicy młodego pokolenia (t. zn. urodzeni w ostatnim dziesięcioleciu wieku ubiegłego) utworzyli nowe ugrupowanie, zorganizowane przez Friedeberta Tuglasa, — „Suiru“. Nazwa została wzięta z bajki ludowej o cudownym ptaku, który w bajce rosyjskiej nazywa się „Żar — Ptak“ (Żar — Ptica“).

Z tego ugrupowania należy wymienić przede wszystkim poetkę Marję Under. Pierwszy tom poezji (1917) Under wydała pod tytułem „Sonety“; to wskazuje na stronę formalną liryki tej poetki. Co do nastroju, książka jest przepojona patosem miłości, który czasami osiąga szczyty erotyzmu. Tych nastrojów w poezji estońskiej przed „Sonetami“ Under jeszcze nie było. Świeżość tematów oraz piękno formy spowodowały popularność dalszych zbiorów wierszy poetki, z których najlepszym jest „Błękitny żagiel“. Ostatnie zbiory mają charakter ekspresjonistyczny („Przed rozkwitem“, „Otwarta rana“, „Dzieciństwo“).

Wśród poetów „Suiru“ wyróżnia się Johannes Semper docent literatury powszechnej na Uniwersytecie w Tartu oraz prezes Pen - Clubu Estonji. Zajmował się Semper literaturami romańskimi, przeważnie francuską, zna się dobrze na muzyce i sztuce. Pierwszy zbiór jego poezji „Pierrot“ (1917) jest książką typowo-estetyczną z odcieniem symbolizmu francuskiego. Bardzo możliwe, że na twórczość Sempera odbiły się wpływy *commedia dell'arte* oraz E. T. A. Hoffmanna. Poeta osiąga wysoki artyzm, który chciałoby się określić po francusku: „*maitrise*“. Od nastrojów estetycznych przechodzi do rewolucyjnych w stylu Emila Verhaerena. Tłumaczy z języków francuskiego i włoskiego, wyrażając język poetycki, oraz pisuje artykuły krytyczne.

Na nowelach Sempera, odbija się wpływ prozy Henri de Regnier'a, poglądy filozofów, styl nowel średniowiecznych oraz epok Odrodzenia włoskiego lub wieku XVIII-go. Słowem Semper jest europejczykiem wieku XX-go.

Z innych poetów ugrupowania „Suiru“ wyróżnia się August Alle, który kojarzy w swojej twórczości nastroje klasyczne z nastrojami symbolistycznymi oraz futurystycznymi (zbiór wierszy „Liljowy słoń“) lub przepelnia duszę czytelnika cynizmem i nastrojami sarkastycznymi (zbiór wierszy „Carmina barbata“). Poemat „Pieśń o błękitnej sukni i o różowym surducie“ zawiera wspomnienia o miłości (w jednej płaszczyźnie) i nastroje rewolucyjne (w drugiej). Jest to nawet „*profession de foi*“ poety i jego pokolenia.

Johannes Barbarus (rzeczywiste nazwisko jego hrzmi D-r Vares) żhudował całą książkę wierszy swoich „Fata Morgana“ na hasłach rewolucyjnych i społecznych. Możliwe, że w tym wypadku dają się zauważyć wpływy Suitsa i Verhaerena oraz arystokratyzm duchowy poety, który przeciwstawia samego siebie raz nazawsze ustalonemu światopoglądowi ogółu. W zbiorze „Człowiek geometryczny“ rozwija Barbarus technikę konstruktywistyczną.

Z poetów, którzy pisują w dialekcie południowo-estońskim, należy wymienić Arthura Adsona oraz Hendrika Adamsona.

Oryginalnym i jaskrawym zjawiskiem w literaturze estońskiej jest twórczość Henrika Visnapuu. Pierwszy zbiór wierszy tego poety „Amores“ (1917) wskazuje na to, że autor świetnie włada techniką wierszopisarską i jest człowiekiem o wysokim poziomie kulturalnym. Drugi tom liryki Visnapuu „Dowiedzenia“ (1918) zawiera nastroje liryczne. Dalsze zbiory wierszy tego młodego poety (wszystkiego wydał Visnapuu sześć książek) są prawdziwą liryką, opartą o stronę melodyjną wiersza estońskiego (np. „Fijolki leśne“). Nadzwyczaj subtelny poeta tworzy swój świat w muzyce, która pozwala mu wypowiedzieć swój pogląd na świat w poematach epickich.

Rozumie się, lista najnowszych poetów estońskich nie ogranicza się do wyżej wymienionych. Tak samo oprócz ugrupowania „Suiru“, które przestało istnieć w roku 1920, powstało jeszcze kilka ugrupowań, m. in. rewolucjonistów-futurystów. Ale wystarczyło, aby czcigodny prof. G. Suits napisał parę artykułów krytycznych przeciwko takiemu ugrupowaniu: zbyt luźno związani pomiędzy sobą najmlodszy rozwijali czempredzej nowe ugrupowanie, nie mając nic do powiedzenia.

Inaczej przedstawia się rozwój współczesnej prozy estońskiej oraz dramatu. Wśród prozaików i autorów dramatycznych niektórzy szczególne mają powodzenie. Członek ugrupowania „Suiru“ August Gailit jest pod wpływem Augusta Strindberga, Knuta Hamsuna oraz Stanisława Przybyszewskiego. Pierwszy zbiór nowel Gailita „Karuzela Szatana“ (1918) wskazuje na pokrewieństwo z twórczością Przybyszewskiego. Druga jego książka — nowele „Ryccerze wędrujący“ zawiera utwory typowo-romantyczne. Świadczy to o szerokim rozpędzie twórczości Gailita.

Dwa romanse „Kraina legend“ i „Purpurowa śmierć“ świadczą o tem, że autor po mistrzowsku opracowuje wątek na szeroką skalę. Drugi z nich, np. z., zawiera fantastyczne opowiadanie o tajemniczej epidemji, która zanieśiona została na Zachód z Indji; dwoje zakochanych, którzy pozostali przy życiu uciekają na Północ, aby tam zacząć nowe życie i utorować drogę dla rozwoju nowej ludzkości. Autor wyraża nadzieję odrodzenia człowieczeństwa w nowej epoce życia ludzkości. W ostatnim romansie, ujętym jako cykl nowel o Sowidźdala p. t. „Tomas Nippernadi“, autor stylizuje język literacki, zbliżając się do Charles'a de Costair'a („Til Ulenspiegel“) Powodzenie utworów Gailita jest bardzo znaczne.

Wogóle proza rozwija się w literaturze estońskiej coraz lepiej, poeci poszukują tematów i nowych możliwości technicznych; poeci takiej dużej miary, jak Visnapuu, powiadają, że wiersze są igraszką i że trzeba zahrać się do prozy. Ten proces odhywa się w literaturze estońskiej w ciągu ostatnich paru lat, tak samo jak w literaturze lotewskiej, polskiej, lub rosyjskiej, co wskazuje na nowe możliwości rozwoju literatury europejskiej.

Sergjusz Kulakowski.

Jerzy Jeszke, Lampa oślepla, F. Hoesick, 1931. — Bzdura.

Roman Gilewski, Głodne serce, Tarnów, 1929, str. 67 + 5 nl. — Rośbrajająca grafomanja.

Jerzy Wyszomirski, Niewczesne, Wilno 1930, str. 66 + 2 nl. — Istotnie niewczesne, trzeba było przechować to w szufladce pamiętek osobistych, i, broń Boże, nie pokazywać zecerowi. Szkoda czasu i... atramentu.

Sabina Raciążkówna, Chińska akwarela, F. Hoesick, 1309. — Tomik poprawnych wierszyków, w których zamknięte małe kobiece wzruszenia i wzruszonka. Niektóre są nawet mile (Aurelja, Sen, Chore dziecko), inne niepotrzebne, a jeszcze inne słabe. Całość — niesamodzielna, indywidualność słaba i powstawanie takich poezyj można wytłumaczyć tylko malutkim snobizmem, mało-ziemiańsko-warszawskim.

Edwin Herbert i Witold Kapuściński, Hinduski sen, Poznań, 1930, str. 61 + 3 nl. — Debiut. Tomik młodzieńczy, bez twarzy, niecelowo i nieprzejrzyste ułożony — Herbert zmieszany z Kapuścińskim — trudno dojść autorstwa: trzeba szukać w spisie utworów. Pierwsze kroki stawiane z wielką pewnością siebie i niczem więcej. Herbert pod wpływami dawnych t. zw. futurystów polskich — dużo patosu, quasi filozofji, aforyzmów — poza na głębię współczesnego intelektualisty — w rezultacie: mieć mac chwytów urbanistyczno-futurystyczno-a. sternowskich, czyli halagan rytmiczno-obrazowy. Kapuściński — bardziej zwarty w formie — mniej pozy w widzeniu rzeczywistości — jednym słowem ciekawszy. Razem wzięte — nie wiele daje o sobie powiedzieć — może niepotrzebnie, a może zawniesnie wydany tomik.

Mieczysław Braun, Sygnał z Marsa, str. 55 + 1 nl. W-wa, 1930. Słuchowisko radjowe. — Sygnał z Marsa (czytaj „Wieża Babel“) nie odznacza się niczem szczególnem, a właściwie tem się odznacza, że niema w niem ani odrobiny samodzielności. Kompozycja, sposoby wersyfikacyjne, intryga, ogólna tonacja — wszystko przypomina Wieżę Babel — Słonimskiego, obniżoną o kilkadziesiąt pięter. Jedyne — co w „Szygnale“ samodzielnego, to nonszalancja, z jaką wszystko jest zrobione: hyle zżyć (widocznie rzecz robiona na zamówienie). Czy nie lepiej było wystawić w radjo fragment „Wieży Babel“, niż karmić słuchaczy kiepskiem i naiwnem jej naśladownictwem?

Wanda Kragen, Poza rzeczywistością, F. Hoesick, 1930, str. 28 + 4 nl. Autorka usiłuje poruszać poważne tematy w poważny sposób, ale dobre chęci idą na marne z powodu braku sił i kiepskiego wykonania. Widać w tych wierszach dużo trudu, mozolnego składania słów w zdania, mozolnego budowania obrazów, aby oddać myśl, która w trakcie pracy wygina się, wiję i gubi. Wiersze, zawarte w tomiku, cechuje bardzo słabe poczucie rytmu, a jeżeli ma to być celowe łamanie, czy też rozbudowywanie miarowych strof — to robota taka pod ręką p. Kragen grzeszy niekonsekwencją, lub, słuszniej, nieumiejętnością. Rymowanie — chaotyczne i bez pojęcia. Można, ostatecznie, używać ry-

mów gramatycznych, jeżeli inne walory wiersza odwracają od nich uwagę czytelnika czy słuchacza; ale nie można stosować takiego bigosu rymów, jak to robi p. Kragen: (męskie i żeńskie), gramatyczne i asonanse, linje wierszy białych przeplatane rymowanymi. Stokroć gorsze od tego wszystkiego są dysonanse, takie, jak: nasze dni — przestrzeni, dziwność snu — pokryjomu, albo H₂O — embrjo (!), które odwracają uwagę od treści wiersza i drażnią. Większość jednak stanowią najbanalniejsze rymy gramatyczne. Jako przykład podają rymy z wiersza „Szyny“: rozpięte — wprzęgnięte, ziemię — brzemię, rozpali — hali, ścina — mieścina, lukiem — hukiem, bodą — wiodą, toru — boru, zadrzą — skarżą. Tematycznie wiersze p. Kragen nie wynikają z głębokich i szczerych przeżyć, robią raczej wrażenie upartych, kanciastych ćwiczeń, robionych przez ambicję. Obliczone na kosmiczność i wielokształtność wzruszeń roją się od przesadnych i patetycznych określeń: tytaniczny, wszechmocny, bezmierny, niezmierzony, bezkreśny, niezglębiony, przedwieczny, nieodgadniony, niesamowity i t. d. Miarą zaś smaku autorki niech będzie parodia fragmentu „Improwizacji“ Mickiewicza, zamieszczona w tomie, jako wiersz:

Czemże są rzeczy?

Wieczystem trwaniem.

Czemże są ludzie?

Błędnem mijaniem.

Leopold Lewin. Wyrąb lasu. F. Hoesick, 1931. Tomik debiutującego poety zawiera wiersze, oparte na przeżyciach, odbieranych od wsi i natury, ponieważ w ostatnich czasach zapanowała taka moda wśród najmłodszych literatów. Wiersze są gładkie, zręcznie robione, o budowie zwrotkowej (czterowiersz), niczem nie wyróżniające się w masowej produkcji poezycji tego typu. Stosunek autora do tematów wsiowych mocno werbalistyczny, czego dowodem szafowanie aliteracjami i tautologizmy w obrazowanie. W jednym z wierszy Lewina Pan śwista na fujarce, sprośny satyr tarza się, pędzą fauny, a Bachus ma kosmate cielska. Gdzie Rzym, gdzie Krym?... Albo w innym: „Zachód płoń w krzaczastym krzaku, w sieci krzewów ugrzęznął nad polem“. Bezpłodna manja operowania słowem i zadowolenie z umiejętności wiązania dźwięcznych strof osłabia u autora kontrolę sensu wyrażenia, każąc mu się powtarzać i głądzić w kóło o jednym, albo doprowadza go do barokowej, zmanierowanej, zapożyczanej i banalnej ornamentyki w budowie metafor. W wierszu Noc w Tatrach księżyc pokutuje w każdej strofie i w każdej dzieją się z nim jakieś niesamowite historie. I. „Miesiąc wisi w przestrzeni jak topór, lńiące niebo na dwoje rozłupał“. II. Księżyc gwiazdy strąca gęstym gradem Młot stuleci na granit je przekuł; III. Kask miesięczny przez tunel przestworza Runie dziobem i w miazgę się strzaska, IV. Siekąc chmury batogiem wichury, na gór karkach galopuje księżyc“. (To jest połowa wiersza). Gdzieindziej znów „Krępe dębczaki biorą wór nieba na bary“. Słowa, słowa. Technika poezji tego typu tak się już zbanalizowała, że przy odrobinie smaku, odczytania, ambicji i dobrych (właściwie — złych) chęci może je pisać każdy.

Janusz Kasperski. Rosarium. F. Hoesick, 1931, str. 56 + 2 nl. Błede, wątłe, wytarte nastroje — silące się na staroświeckie bibelotki: jakieś zapachy lawendy, jakieś mirty, wstążki, kokardki, prababki, rycerze i klasztory. Całość

nastrojem przypomina starą zblakłą fotografię, dagereotyp. Ogólną tonację książki możnaby jeszcze darować, choć cechuje ją charakterystyczna poza staroświeckich tęsknotek (zapach rozkładającej się szlachetczyzny). Zato forma pozostawia dużo do życzenia. Rytmika traktowana lekkomyślnie, z bezcelową nonszalancją, nie odczuwana, nie budowana, nudna i bezsensowna (wyjawszy wiersze, pisane normalnymi, miarowymi strofami) — rymowanie bez świeżości, inwencji, śmiałości (mieszanka rymów niepełnych, gramatycznych, asonansów — obrazowanie blade, nieplastyczne, niesoczyste, sentymentalno-patrjotycznie-nudne. Wszystko — jakby zakurzone. Książka świadczy o czerpaniu autora ze źródeł kultury, zalatujących szlachecko-patrjotyczną myszką. — Wiedzący kwiat — o zgniłym korzeniu.

Jan Szczawiej, Miłość tworząca, Zw. Wyd. Młodych, W-wa 1930, str. 63 + 4 nl. — Epigonizm 2-go stopnia — banalność metafor — naiwność obrazów i refleksji — nadużywanie pasiek, miodu, mleka, dzbanów, księżycy, złota, wisien, żywicy oraz kartofli, jako akcesoriów i buldula do metafor — poza miłość do cierpiącej ludzkości i nędzy wiejskiej — rozmawiany liryzm (co kogo obchodzi, że: „Jest bardzo źle. Tak bardzo, bardzo jest mi (autorowi) źle). W wierszach Szczawieja „gwiazdy dojrzewają jak gruszki“, „księżyc się upija“, „ból włóczy się ostępami“ (lepiej byłoby: po kościach), „któraś gwiazda piekąca, człowieczą potrzebą (?), krzyczy w niebo“, „wieczór drzewa liczy“, „wieczór grudniowy przepił grosz ostatni“ i t. d. A co znaczy takie wyrażenie: „słowom się usta mową znaczyły ranną, i od patrzenia oczy ustom hoła“ — sam djabeł nie dojdzie. Wogóle za dużo zmanierowanego, koślawego personifikowania. W sześciu linijkach wiersza „Twarz z plakatu“ znajdujemy następujące, conajmniej sztuczne, przenośnie:

Wieczór miastu do ucha szeptał słowa nieśmiałe
O niedoli ubogich, o daremnych ich żalach,
Śnieżyn gwiazdki kosmate na chodniki plakaty,
Pod latarnią — upity — własny cień jej się walał.
W pustce głuchej uliczki skrzypią kroki opuchłe:
To zaspana i brudna noc się włóczy bez celu.

Zsumowanie wrażenia z tomiku Szczawieja wyglądałoby tak: — trochę banalnej liryki — banalnego społecznikowstwa — programowej wsiowości — i kilka prostych, szczerych, ale niedociągniętych, albo przydługich i wodnistych wierszy. Przydałoby się więcej samokrytycyzmu.

Grzegorz Timofiejew, Nie ma mnie w domu, Meteor, 1930, str. 39 + 1 nl. Tomik zawierający kilkadziesiąt wierszy debiutującego poety rosyjskiego pochodzenia, podzielony został na dwie części. Część pierwsza obejmuje wiersze, widocznie wcześniejsze, różnolite formalnie, o nikłych nastrojach, słabsze i dość wyraźnie naśladownicze. Zawodzi w nich czasem kontrola sensu wyrażenia, skąd wynikają takie nieporozumienia, jak:

„Każde źdźbło miało wielki owoc,
napęczniały na cienkich drzewach“ (źdźbła i serca)

lub mimowolne parodje, jak początek wiersza „Zdarzenie“:

„Ktoś się nagiął, ktoś się pochylił,
Ktoś ciało, jak gałązkę pod ciężar kół kładł.
Trzasnęło! — Potem
była cisza pożółkła.

Wiersze, zawarte w drugiej części, jednolite formalnie, o budowie dwuzwrotkowego ośmiowiersza, nasycone jakąś melancholią, smutkiem i tęsknotą za utraconą ojczyzną, są prawdziwe, proste, szczere i nieraz ładne. Naprz. z wiersza „Zapomnienie“:

Czas mi rozwiewa pamięć. Płatki twarzy dawnych
jak płatki śniegu spadały. I oto jest zima.
W tej niepamięci śnieżnej, czyż mogę bezradny
ostatni promień słońca palcami zatrzymać?

Ale już drugi czterowiersz zepsuty manierycznym i wytartym obrazem: „mróz... dzban nieba rozłupał“, „niebo spadło na ziemię w kruchych gwiazd skorupach“. Mało który z wierszy drugiej części nie jest naspikowany takimi sztucznymi metaforami, zapożyczonemi zresztą zwykle od kogoś innego i przerobionemi. Skutkiem tych przeróbek, zapożyczenia (podświadome zapewne) stają się sztuczne i nienaturalne. Przykładem niech będzie ten „dzhanek nieba“, nadużywany przez najmłodsze pokolenie. A co zrobiło się naprz. z tak prostego i pięknego powiedzenia Lechonia: „A nuż jest Pan Bóg w niebie i wszystko to liczy? — u Timofiejewa: „Ktoś napewno na każdy krok patrzy, ważąc wszystko na wagach z prawdziwego nieba“. — Może dzięki zamknięciu się w narzuconych sobie ramach formalnych, w wierszach drugiej części jest tyle prostoty i opanowania. Mimo błałości i wielu słabizn, tomik wyróżnia się naturalnością uczucia.

Hanna Mortkowiczówna, Niepotrzebne serce, Tow. Wyd., 1930, str. 46 + 10 nl. — Tom równy, bez usterek, kulturalnie napisany, — dużo szczerości w oddawaniu uczuć i nastrojów. Kobięcy stosunek do zjawisk i zdarzeń; smutek i rozterki miłosne, ludzie i rzeczy widziani przez pryzmat kobiecego serca, spragnionego miłości, wszystkie nastroje przesycone jakimś zrezygnowanem pragnieniem — oto dominujący ton tomu. Formalnie wiersze Mortkowiczówny nie wychodzą poza uznany poziom osiągnięć (Skamander), wyraźnie bardzo nieraz cięży nad niemi Illakowiczówna. Dużo w nich szczerości i naturalności, wyrażonych w sposób prosty, i nie rażących ucha żadnemi zgrzytami. Brak pozy, opanowanie formy, obrazowanie proste i świeże, miarowa rytmika, rymowanie nie sztuczne, dyskretny liryzm — sprawiają, że książka Mortkowiczówny wyróżnia się z pośród szeregu ostatnio wydanych zbiorów poezyj.

Jerzy Liebert, G u s ł a, F. Hoesick, 1930, str. 78 + 4 nl. — Ten tom pięknych liryków dziwne sprawia wrażenie. Wiersze są istotnie piękne, formalnie bez zarzutu, naświetlone uczuciowym, religijnym prawie stosunkiem autora do swej sztuki — do swego słowa, jakby sam powiedział — a jednak mało jest w tem wszystkim samego Lieberta. Jego liryki to majstersztyki — ale ogień Lieberta nie pali: błyszczą pięknie, ale jest zimny, sztuczny. Jego uczuciowość

to rozhuśtana na zimno, intelektualistycznie, egzaltacja — czego dowodem są choćby wiersze oparte na tematach religijnych (jakby ktoś przepychem obrzędów chciał osłonić brak prostej i szczerzej, jak ojciec nasz, wiary); jego wyobrażenia czerpie soki nie z żywego prądu zjawisk, lecz w dużej mierze z lektury. Słowo, kult słowa — niesamodzielny, bo przejęty od pokolenia poetów, w które wrósł niewidocznie może dla siebie: od Skamandrytów. Mało jest w tomie wierszy, z których wyglądałaby prawdziwa twarz Lieberta; wszędzie widać albo odbicie, albo obraz powstały przez rozszepienie w kryształach innego poety. Najsilniejsze są wpływy Skamandrytów — Tuwima na pierwszym planie: przez jego formy, jego chwyt, jego sposoby stopniowania napięć i dynamikę nawiązując autor nie tylko do własnych przeżyć, lecz i do starszych mistrzów: Mickiewicza, Słowackiego, Kasprzowicza. Przecież takie wiersze, jak *Jeździec*, *Boża noc*, *Muza z zaścianka*. O rzeczach, nie tylko nastrojami, lecz i kompozycją, i nasileniem uczuciowem, a nawet zagadnieniami treściowemi odpowiadają pewnym wierszom Tuwima. A to tylko wiersze charakterystyczniejsze, rzucające się w oczy. W *Mozesie Krumholcu* autor naśladuje Kasprzowicza (*Szaja Ajzensztok*) ale nie przez własną organizację poetycką go widzi, lecz znów przez Tuwima. Tak samo *Romantyczność* i *Jurgowska Karczma* to nawiązanie do *Ballad* Mickiewicza za pośrednictwem Tuwima, krótko mówiąc, *Gusła* są naprawdę *Gusłami* nad źródłem skamandryzmu — są jakby esencją skamandryzmu. Są piękne, ale nie widać z nich autora, który widocznie nie może przełamać tych przemożnych wpływów i nie usiłuje odnaleźć własnego stosunku do rzeczywistości.

Włodzimierz Słobodnik, *Spacer nad Wisłą*, Kwadryga, 1931, str. 62 + 2 nl. — Nowy tom *Słobodnika* ma, przedewszystkiem, tę przewagę nad poprzednio wydanymi, że jest starannie ułożony i przesiany. Niema w nim, jak w poprzednich tej bezładności układu i braku samokrytycyzmu w wyborze wierszy do zbioru. Niema łatwizny i banalności obok wartościowych wierszy. Tom jest jednolity. Liryki i kilka przekładów z *Pasternaka*. Zrobił autor niespodziankę nagłą zmianą tonu i postępami formalnymi. W gruncie rzeczy przemiany, którym uległ *Słobodnik*, nie należą do istotnych, nie są z gatunku przemian głębszych — są pozorne. W „*Spacerze nad Wisłą*“ mamy takiego samego *Słobodnika*, jak w poprzednich tomach. Przechylił się tylko ku większej prostocie i wyrazistości w budowaniu metafor, jasności w tematyce, a skomplikował i udoskonalił metody wersyfikacji. Pozatem skolorował i zróżniczkował swój mocno werbalistyczny stosunek do zjawisk, pozatem spoważniał. Ale w istocie swej pozostał tak samo niesamodzielny, jak przedtem. Zmieniły się tylko źródła. Choć i w tej książce pokutują jeszcze dawne tony i wyrażenia. Naprz.: „*Brzozy jak mleko ustami można wypijać*“, „*zwierzęce ciepło ziemi*“, „*chata prosta, jak garnek mleka*“, „*hursztynowa pszczoła*“. Uważam też, że autor nadużywa róż, jako akcesorium poetyckiego. Miał już: wschodnie róże, szklane róże, czarne róże, — i preludjami pieścił róże. Wysubtelniała zato w nowym tomie składnia zdań, przydając wierszom dużo klarowności i prostoty, przybył nowy, dziwny u *Słobodnika* ton uczuciowy — pewien sarkazm i ironiczność w stosunku do zjawisk (komedia śpiewu słowika), i lżejszy, dobrotliwy jakby, stosunek do własnej twórczości, w przeciwieństwie do dawnej, trochę bałwochwalczej pozy wobec słowa. Na składniowej czystości wierszy zyskała melodyjność i lekkość utworów, brzmiających w nowej książce jakoś fletowo i skrzypcowo. Fantastyczna wizyjność obrazów — wiersze *Słobodnika* oparte są prze-

ważnie na obrazach z pominięciem refleksyjności, która brzmi u niego zwykle dość naiwnie — przydaje poezjom jakichś nut barwnej pozarzeczywistości i zatrąca o nieznanie intuicyjne struny duszy. Znać w nowym tonie wpływy romantycznej poezji rosyjskiej (Puszkin, Lermontow) i Pasternaka. Najoryginalniejsze w tomie wiersze to cykl *Gdzie?* (Jeździec, Księżyc, Pocalunek przy rzeźni) i, przede wszystkim, cykle: *Spacer nad Wisłą* i *Słowiki* i *kucharki*. Bardzo dobry sonet *Agonja* (prócz niego są jeszcze w tomie trzy: *Wizja kucharki*, *Letnisko*, *Kąt*). Dobre i wierne przekłady z Pasternaka, choć, moim zdaniem, nie trafiają dźwiękowo w ton tego poety.

Stanisław Ciesielczuk, Głazy i struny, Kwadryga, 1931, str. 27 + 1 nl. W prostocie, w wyrzeczeniu się epatujących współczesnego snoba zawijasów metaforycznych, leży wartość tej książki, stanowiącej duży krok naprzód w rozwoju młodego poety — przez pogłębienie wartości wewnętrznych autora, jako człowieka. Wobec rozwydrzenia hanalnej i epigońskiej ozdobności we współczesnej młodej poezji, wobec naskórkowego, a upozowanego na surrealistyczne inne futurystyczne - intelektualistyczne głębie, traktowania spraw, najgłębiej związanych z człowiekiem, z jego wewnętrznym życiem i stosunkiem do świata — te dwadzieścia wierszy — wyrosłych z ziemi i zrośniętych z nią głąboko — stanowi pozycję, nad którą nie można przejść z lekkim sercem do porządku. Tom na pierwszy rzut oka wydaje się jakiś szary, jakby niewspółczesny. Szarość ta wynika z prostoty środków poetyckich, stosowanych przez autora, prostoty robiącej chwilami wrażenie komunału. Wrażenie to mija po uważnem rozejrzeniu się w wierszach. Prostota jest u Ciesielczuka celowa, świadoma, stanowi kontrast jakby poprzednich tomów poety (*Wieś pod księżycem*, *Chaty w obłokach*, *Pies kosmosu*), w których nieraz zdarzały się metafory, trącające manierą; ma ona zarazem na celu wysunięcie na pierwszy plan zagadnień treściowych, które z czystego wiejskiego liryzmu przesunęły się u autora ku refleksyjności, opartej o tematy, związane też z ziemią, ale zagarniające szerszy zakres, potracające o sferę metafizyki. Z konsekwentnie ułożonej i jednolitej książki wychyla się twarz zamyślnego nad odwiecznymi zagadkami bytu poety: zmienność spraw tego świata, płynność rzeczy, stałość praw rządzących kosmosem i ludźmi, i wiara w twórczą myśl ludzką — oto zagadnienia poruszane przez Ciesielczuka. A wszystko widziane poprzez naturę. Wiara Ciesielczuka jest uparta i twórcza:

„Legendo hłiska! Truchleje moc, gdy myśl nowa się rodzi,
Myśl, która nową twarz świata wyrzeźbi w radości i męce,
Myśl, co nie w złotych, pachnących komnatach na świat przychodzi,
Ale w zziębniętej na mroźnym wietrze — ubogiej stajence“.

Jest w jego wierszach coś z chłopskiego uporu, z wżerania się w tajemnicę, jak chłop w ziemię się wżera, coś trochę ponurego, ale prostego i nieustępliwego. Jest ten zbiór może niepozorny, może szary w swej prostocie dla czytelnika, przyzwyczajonego do łatwizny i reklamowo - jaskrawych sposobów współczesnej poezji — ale jest zupełnie samodzielny i oryginalny. Jako przykład stylu Cie-

sielczuka i zmian, jakie się w nim dokonały, pozwalam sobie przytoczyć w całości wiersz „Nieznane krąży w nas“:

Jak w niewiadomo — czem — kroczymy wzwyż w tem życiu,
Jak w niewiadomo — co — każdy z nas w śmierć się stacza.
Nieznane z poza gwiazd jest w ciepłem serca bicu,
Nieznane krąży w nas, nieznane nas otacza.

Ono jedyne jest — zar cudu najstraszliwszy —
Choć nam się ledwie śni, choć myślom ledwie pachnie, —
I światów, ile chwil — żyć, ile chwil, przeżywszy,
Wejździemy w jego dal ocknieniem swem ostatniem.

Stefan Napierski, Pusta Ulica, Biblij. Groszowa, 1931, str. 164. Każda nowa książka Napierskiego budzi w środowisku literackiem albo ironiczne uśmieszki, albo wzruszenie ramionami, albo zakłopotanie. Ludzie nie wiedzą, co sądzić o autorze i recenzencie poetyckim, wydającym tomik dziwacznych wierszy, lub zbiory jeszcze dziwaczniejszych aforyzmów. „Pusta ulica“ jest też zbiorem notatek na marginesach książek przeczytanych, zamyśleń nad ludźmi i rzeczami, trafnych nieraz spostrzeżeń i uwag, ujętych w formę aforyzmu. Zdarzają się pomiędzy temi aforyzmami snobistyczno - sztuczne zdania o kulturze europejskiej, o życiu — bardzo pocieszne często. Naprz.: „Któż dba o ślepeca? Ma kamasze wciągane za ucho“. Książki Napierskiego są doskonałym wyrazem jego indywidualności i tragicznej słabości jego przerafinowanego, przeczytanego, skolowanego międzynarodowością intelektu. Relatywizm, brak możności zdobycia się na określone stanowisko wobec zjawisk literatury, a przynajmniej zmienność ustosunkowania, płynność kryterjów — oto co cechuje go jako krytyka — i to właśnie sprawia, że autor nie może zdobyć się na żadną konstrukcję, na książkę o jasnej, logicznej strukturze. Obawiam się, że gdyby mu przyszło pisać powieść lub nowelę, robiłby to jak Peiper wiersze: hudowałby powieść z aforyzmów, czyli z materiału nieistotnego — jak Peiper hduje wiersze z metafor — a kto widział kiedy hudowę z ornamentów i sztukaterji a nie z kamieni i cegły. Dość trafnie można określić indywidualność Napierskiego jednym z jego własnych aforyzmów, który przytaczam w całości: „Ninansy, czyli jałowość inteligencji. Niebezpieczeństwo „finezji myślowej“, nadmiernej inteligencji. Wrażliwość na odcienie, nie na istotę rzeczy, na interwały, nie na sedno zagadnienia, na cienie słów, nie na wyraz; krążenie śladami promieni, nie możność zblżenia się do zbyt oślepiającego ogniska światła — rozproszkowane krążenie po peryferjach“.

Jan Kurek, Andrzej Panik. — Morderca Amundsena, powieść, 2-gie wydanie, str. 46 + VIII + 2 nl. Trudno mi zgodzić się z autorem co do twierdzenia, że książka jego jest powieścią. Pomijając sprawę objętości książki (46 stronic), nie można nazwać powieścią blahego w gruncie rzeczy opowiadania, zawartego na str. 39 — 44, o zamordowaniu Amundsena przez szewca krakowskiego Andrzeja Panika. Przez 38 str. autor opowiada o sprawach nic nie mających wspólnego z tem fikcyjnym zdarzeniem, (czy może ma to być wprowadzenie w psychikę bohatera, wyjaśnienie pobudek zmyślnego czynu?). A to puszenie się autora, wypinanie piersi, ta poza zapracowanego dziennikarza i poe-

ty, i banalne obserwacje życiowe, podlane sosikiem liryczno - poetyckich ustępów. To nie powieść — trudno i darmo. Nic nie pomogą płomienne przedmowy. Zamiast pisać przedmowę do tej książki, lepiej było napisać nową książkę.

Zato dużą nowelą jest *Dziewiąta fala*, *Stefana Balickiego*, (opowieść morską, Księgarnia Św. Wojciecha, 1930, str. 169 + 3 nl.), oparta na tematach zaczerpniętych z życia rybaków kaszubskich, — i z racji przeprowadzenia intrygi i niezbyt wszechstronnie, nie dość wyraziście podmalowanego tła. Dobrze zarysowanych kilka postaci, jak latarnik Kublik, Fryc, Anna, Jaga — dobrze naszkicowany przebieg życia wewnętrznego Kublika — całość zrobiona solidnie, porządnie, — styl prosty i jędrny, plastyczny i obrazowy — zdrowy i niebanalny humor, prześwitujący tu i ówdzie w razie potrzeby. Jednym słowem nie tandetna, nie sprawiająca zawodu książka, w dodatku kulturalnie wydana.

Sergiusz Jasienin, *Wybór poezyj*, — Biblij. Kamenny Nr. 1 — 1931, str. 32, tłumaczył K. A. Jaworski. Bardzo pożyteczne wydawnictwo, szczególniej teraz, kiedy młodsze pokolenie nie zna zupełnie rosyjskiego i nie może zapoznać się z poetami rosyjskimi w oryginale. Przekłady wierne i kulturalne, może chwilami trochę blade i zatracające pewną szorstkość obrazowania Jasienina.

WŁADYSŁAW SEBYŁA.

„Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię“ — sprawdziło się to na pewnym nauczycielu z Łodzi, który kryjąc się pod pseudonimem Adama Galińskiego obdarował Polskę jedną z najgorszych książek p. t. „Poezja Polski Odrodzonej (1918 — 1930)“. W rubryce „książki najgorsze“ publikacja ta nie powinna się znaleźć, bo ma cechy rozsadzające nawet to pojęcie. Praca p. A. G. jest książką szkodliwą. Zabawić się w nowego Feldmana nie jest tak łatwo, jak to się byle komu zdaje.

„Poezja Polski Odrodzonej“ składa się z antologii oraz części informacyjnej. Pierwsza znakomicie ukazuje szerokiej publiczności najslabsze utwory poetów z lat 1918 — 1930, druga część zawiera przeważnie mętne i dezorjentujące informacje.

Aby nie być głośnym motywując: z Jasińskiego przytoczono tylko „Śpiew maszynistów“, z Ważyka tylko „Niedzielę“, z Przysieckiego „Poetę bez twarzy“, z Wittlina „Lament“ i „Intermezzo nocy wiosennej“. W części informacyjnej kwitną wonne kwiatuszki: J. Stycz (Herminja Naglerowa) wbrew własnej woli została zmaskulinizowana, o Galczyńskim niema nawet wzmianki, o innych również, ale za to dla p. A. Galińskiego literatura musi być bardzo pakowna skoro mieści w niej nietylko większych ale i pomniejszych przysięgłych grafomanów w rodzaju J. A. Galuszki, Janiny Helm-Pirgo (ostatecznie Helm czy Pirgo?), Zechentera, Gembarzewskiego, Sterna i t. p. Pominięci nie zmartwią się zresztą nielaską, bo o tych, o których false - Galiński cośkolwiek pisze, to istotnie pisze cośkolwiek. Co drugi poeta posiada „prawdę uczucia i rzetelny talent“, co trzeci „harmonję i śpiewność“, co piąty „prawdziwy talent“, lub „istotny talent i ton swoisty“. Żeby te ubożuchne oceny doczepić do nazwisk wydał p. Galiński 400-stronicową książkę. Brak jakiegokolwiek metody, błędy faktyczne, których w tej pracy pełno, wreszcie niewspółmierność intelektu autora z poważnym zadaniem zementowania rzeczy płynnych dyskwalifikują całkowicie publikację p. t. „Poezja Polski Odrodzonej“.

Jednakże wobec faktu, że pierwszy nakład publiczność rozchwytuje pośpieszenie, usiłując zdobyć jakąś nić w labiryncie współczesnej poezji polskiej, proponuję utworzenie wśród poetów zwartego anty-Galińskiego frontu.

Prostu powinni poeci napisać list otwarty, w którym wyrazilihij swój protest przeciwko cytowaniu ich utworów i analizom robionym przez owego pseudo - Galińskiego i pseudo - Krytyka. Inaczej grozi nam drugie wydanie tego smutnego świadectwa bezkrytycznej krytyki.

J.

W dn. 5 grudnia 1930 r. odbył się w auli Uniwersytetu Warszawskiego wieczór autorski „Kwadrygi“, który zgromadził zgórą 400 osób.

W dn. 19 grudnia tegoż roku poeci „Kwadrygi“: St. R. Dobrowolski, S. Flukowski, M. Piechal, L. Szenwald, W. Sebyła i Wł. Słobodnik wzięli udział w wieczorze zorganizowanym w Sali Rady Miejskiej w Łodzi. Z tej okazji dłuższe artykuły o twórczość „Kwadrygi“ pomieścili: „Hasło“ i „Głos Poranny“, omawiając i charakteryzując szczegółowo dorobek najmłodszej poezji polskiej.

W styczniu r. b. odbył się poranek „Kwadrygi“ w Żyrardowie. Zgromadził on b. licznych słuchaczy.

Dn. 19 lutego b. r. na zaproszenie Kasyna i Koła Lit. Art. we Lwowie odbył się wieczór „Kwadrygi“, w którym wzięli udział: St. R. Dobrowolski, S. Flukowski i Wł. Sebyła. Imieniem Lwowa powitał ich znany krytyk Tymon Terlecki.

Po wstępie przechodząc do charakterystyk „Kwadrygi“ powiedział: „Bo jest to pierwsza w Polsce nowa poezja, która nie tylko najbardziej bezpośrednio wyrasta z gleby codzienności, nie tylko pulsuje krwią, obiegającą nasze żyły, ale która wraca, wzrasta, wnika w życie. Jest to poezja która pierwsza podjęła tragiczny ciężar wszystkich spraw współczesności, przez to: poezja w charakterze swoim społeczna i w swojej barwie uczuciowej: heroiczna. Poeci „Kwadrygi“ nie są ani romantykami historycznego typu ani witalistami dzisiejszego: i nie odrzucają rzeczywistości ani nie zatracają się w niej bezspornie. Chcą ją tworzyć. Ich postawa wobec świata jest zdobywcza, czynna, twórcza, ...niema wśród nich talentów nagłych, meteorycznych, raczej cechuje ich, organiczne, powolne, rzekłbym: drzewne narastanie, postępujące zrzepnięcie ideologii i arcyzmu. i to mi się wydaje pełniejsze nadziei niż cokolwiek inne. Przebijają się naprzód w stale natężonej, rosnącej, jaśniejącej świadomości społecznej i twórczej. Nie ustają, ale idą równo i usilnie jak się idzie za plugiem“. A kończąc: „I dziś gdy Lwów budzi się na nowo, gdy sili się, aby nadążyć za dniem bieżącym — blisko i czujnie, otwiera serce młodej rozkwitającej poezji gotów do wzruszeń i uniesień woła w jej stronę: Bywaj Kwadrygo!“

Wieczorowi „Kwadrygi“ prasa lwowska poświęciła wiele miejsca. Z ważniejszych głosów należy wymienić: *Słowo Polskie*: „...wszystko zdaje się świadczyć, że najbliższe, może wielkie słowo twórcze Polski dzisiejszej z tamtych ust padnie. Czekamy na to słowo. Koła symbolicznej „Kwadrygi“ nie grzmiały jeszcze triumfalnie w zwycięskim pędzie. Bystro wyteżone oczy poety - zdobywcy mierzą jeszcze badawczym oglądem polską rzeczywistość, którą on — ohy już wnet — rozbieganym zdobędzie galopem“, *Kurjer Poranny Lwowski*: „Są to poprostu entuzjaści norwidowskich idei pracy, trudu, bólu... „Ciekawa i pełna żywicy jest poezja „Kwadrygi“. I dlatego uznanie należy się inicjatywie Kasyna i prelegenta wieczoru p. Tym. Terleckiego, że dali i publiczności lwowskiej przez urządzenie wieczoru poetyckiego „Kwadrygi“ wskazówkę dobrej lektury“. *Gazeta Lwowska*: „...jędrność stylu, dosadność wyrażenia przy dużej zresztą subtelności wysłowienia.“ *Gazeta Poranna*: „Zwracała uwa

gę staranna robota literacka tych utworów — brakło im silniejszych, oryginalnych tonów emocjonalnych. *Wiek Nowy*: „Twórczość „Kwadrygi“ jest w całości ciekawym wysiłkiem idącym po linii prób jeszcze surowych w formie, ale konsekwentnym i bogatym w treści. To jednak co dotychczas zrobili jest już poważnym zawiązkiem na przyszłość.

NOWE KSIĄŻKI „KWADRYGI“.

W roku bieżącym ukazały się nowe tomy. Są to:

Stanisława Ciesielczuka: *Glazy i struny* poezje — nakład „Kwadrygi“ — zbiór nowych wierszy.

Stefana Flukowskiego. *Pada deszcz* — proza nakł. „Kwadrygi“ — drobniejsze utwory nowelistyczne, studjum powieściowe p. t. „Zabić lisa“ i „Listy do Matki“ w 13 nowelach.

Marjana Piechala: *Elegje calopalne* — poezje zbiór nowych wierszy norwidskich i pacyfistycznych.

Włodzimierza Słobonika: *Spacer nad Wisłą* — poezje nakł. „Kwadrygi“ — zawiera cykle: tytułowy, Słowiki i kucharki, Muzyka, Gdzie? i przekłady z Pasternaka.

W przygotowaniu.

Stanisława R. Dobrowolskiego — *Autoportret* — poezje.

Józef Czechowicz wydaje: *Ballada z tamtej strony* — poezje nakł. Bibliofile Lubelscy — zawiera 7 wierszy o śmierci i listopadowe elegje, oraz przygotowuje: *Mity* — poezje.

Z CZASOPISM.

POLONISTA — dwumiesięcznik — zeszyt IV zawiera: *Dr. A. Kopczewska*: W poszukiwaniu nowego programu. *Dr. J. Gołębek*: Opracowanie bajki „Pies i wilk“, metoda szkoly pracy. *Janina Fitowska*: Przykładowa lekcja z gramatyki. *Marjan Piechal*: O charakter twórczości najmłodszych poetów. *Adam Szczerbowski*: Nowe rymy (z zagadnień formalnych nowej poezji polskiej) Recenzje, sprawozdania, korespondencja.

PRADY — miesięcznik — czasopismo Łódzkiego klubu Literackiego pod redakcją Grzegorza Timofiejewa Nr. 2 zawiera: *Marjan Piechal*: Pożegnanie Norwida, *P. Hulka Laskowski*: Proletariat a religja, *Zofja Nalkowska*: Fragment „Dzień jego powrotu“, *Grzegorz Timofiejew*: Śmierć deszczu, Stań wieczorem, *J. Wittlin*: „Fragment z przedmową do książki o Św. Franciszku“, *Rafał Len*: „Zagubiony Kapelus“, *K. Sowiński*: „Marsz“, *Dr. Łubnicki*: „Krytyka jako sztuka“, *Jan Augustyniak*: „Czytelnicy łódzcy, ich życzenia, dziwactwa i złośliwości. Rzeczy bieżące.

KSIĄŻKI „KWADRYGI”

POWINIEN CZYTAĆ KAŻDY, KTO SIĘ INTERESUJE
MŁODĄ LITERATURĄ.

DOTĄD SIĘ UKAZAŁY:

- | | | |
|--|--|---------|
| <i>Stanisław Ciesielczuk</i> | 1. CHATY W OBŁOKACH | Poezje |
| „ | 2. WIEŚ POD KSIĘŻYCEM | „ |
| „ | 3. PIES KOSMOSU
F. Hoesick 1929 r. | „ |
| „ | 4. GŁAZY I STRUNY
Kwadryga 1931 r. | „ |
| <i>Stanisław R. Dobrowolski</i> | 5. POŻEGNANIE TERMOPIŁ
F. Hoesick 1929 r. | „ |
| <i>Stefan Flukowski</i> | 6. SŁOŃCE W KIERACIE
F. Hoesick 1929 r. | „ |
| „ | 7. PADA DESZCZ
Kwadryga 1931 r. | Proza |
| <i>Konstanty J. Gałczyński</i> | 8. PORFIRJON OSIELEK
F. Hoesick 1929 r. | Powieść |
| „ | 9. KONIEC ŚWIATA
1930 r. | Poemat |
| <i>Aleksander Maliszewski
i Władysław Sebyła</i> | 10. POEZJE
1927 r. | Poezje |

- | | | |
|-------------------------------|---|---------|
| <i>Aleksander Maliszewski</i> | 11. CZARNA BEATRYCZE
F. Hoesick 1929 r. | Poezje |
| <i>Marjan Piechal</i> | 12. KRZYK Z MIASTA
Meteor 1929 r. | " |
| " | 13. ROZMOWY O PACYFIŹMIE
Pionier 1930 r. | Wywiady |
| " | 14. ELEGJE CAŁOPALNE
Instytut Lit. 1931 r. | Poezje |
| <i>Nina Rydzewska</i> | 15. MIASTO
F. Hoesick 1929 r. | " |
| <i>Władysław Sebyła</i> | 16. PIEŚNI SZCZUROŁAPA
F. Hoesick 1930 r. | " |
| <i>Włodzimierz Stobodnik</i> | 17. MODLITWA O SŁOWO
Robotnik 1927 r. | " |
| " | 18. CIEŃ SKRZYPKA
F. Hoesick 1929 r. | " |
| " | 19. NOWA MUZA
F. Hoesick 1930 r. | " |
| " | 20. SPACER NAD WISŁĄ
Kwadryga 1931 r. | " |

